

DAN JONES



KRZYŻOWCY

EPICKA HISTORIA WOJEN
O ZIEMIĘ ŚWIĘTĄ

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXV Nr 9(289) Żelów, wrzesień 2020

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Michała Bukowskiego, Zygmunta Dekierca, Krystyny Koneckiej, Janusza Orlikowskiego, Dariusza Pawlickiego, Aleksandry J. Starosteckiej, Andrzeja Waltera, Marii Wardzichowskiej-Woźniak

Andrzej Dębkowski – *Witkacy*

Leszek Żuliński – *Bardzo ważne wiersze*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy* (54)

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (167)

prof. Ignacy S. Fiut – *Teologia wiersza oraz Wiersze „donikąd”*

Stefan Jurkowski – *Przeciwność i zabobon*

Joanna Friedrich – *Lato z dziewczynami*

Andrzej Walter – *W drodze do Itaki* (2)

Kazimierz Iwosse – *Ta nasza pamięć...*

Anna Błachucka – *Czarodziej słów*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (12)

Anna Andrych – *Abracadabra Zbigniewa Gordzieja*

Edward Zyman – *Krucha trwałość ludzkiego losu*

Irena Słomińska – *Miłość*

Joanna Słodyczka – *Podane w otwartych dłoniach*

Lidia Kosk – *Zaprzęg z cieniem, cz.II*

Paweł Kuszczynski – *Przywoływanie pamięci*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. Andrzej Dębkowski

Kronika

Zmarł Piotr Szczepaniak



20 sierpnia br. w wieku 78 lat zmarł **Piotr Szczepaniak**, polski piosenkarz, aktor i gitarzysta.

Studiował historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i tam rozpoczął działalność artystyczną w kabarecie „Czart” i teatrze Akademii Medycznej „Dren 59”. Debiutował w 1963 roku na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Znany jest z takich przebojów jak *Żółte kalendarze*, *Kochać*, *Goniąc kormorany*, *Puste koperty*, *Zabawa podmiejska*, *Nigdy więcej* i innych.

Na przełomie lat 60. i 70. XX wieku wraz z Bohdanem Łazuką i Jackiem Fedorowiczem prezentował program estradowo-kabaretowy „Popierajmy się”. W latach 70. występował solo (przy akompaniamentem gitary) w programach muzyczno-poetyckich oraz z recitalami pieśni i romansów.

Wrzaz z NSZZ „Solidarność”, od 1980 roku przez cały stan wojenny do 1989 roku, był współorganizatorem Festiwalu Piosenki Prawdziwej (1981) oraz koncertów w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej.

W 2016 został odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Zmarła Maria Janion



Rys. Zbigniew Kresowaty

23 sierpnia 2020 roku zmarła w Warszawie **Maria Janion**, polska historyczka literatury, idei i wyobraźni oraz krytyczka literacka specjalizująca się w historii polskiego i europejskiego romantyzmu, profesor nauk humanistycznych, członkini Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności, doctor honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego.

Badaczka polskiej kultury XIX i XX wieku. Autorka ponad dwudziestu książek o zasadniczym znaczeniu dla refleksji o polskiej tożsamości, a także kilkuset studiów, artykułów, szkiców i recenzji. Krytyczka polskich mitów narodowych, polskiego kultu wojny, żołnierza, bohaterstwa, militarnych zrywów, martyrologii. Feministka, krytyczka rasizmu, antysemityzmu, homofobii i mizoginii.

Zawodowo związana m.in. z Instytutem Badań Literackich PAN, Uniwersytetem Gdańskim i Uniwersytetem Warszawskim. Nauczycielka akademicka, wychowawczyni wielu pokoleń polskich humanistów: pisarzy, publicystów, naukowców, wykładowców akademickich, dziennikarzy, wydawców i nauczycieli. Promotorka w dwudziestu przewodach doktorskich.

W latach 1968-1978 redaktorka naczelna komitetu redakcyjnego serii *Historia i Teoria Literatury*. *Studia* Instytutu Badań Literackich. Edytor wydawnictwa poezji polskiej oraz dramatu *Nie-Boska komedia* dla Biblioteki Narodowej, redaktorka serii wydawniczych, m.in.

Transgresje i Obraz Literatury Polskiej. Od 1978 roku redaktorka wielotomowej *Biblioteki romantycznej*.

W czasie II wojny światowej działaczka podziemnego Związku Harcerstwa Polskiego. Od lat 70. działaczka opozycji demokratycznej w PRL. Współzałożycielka niezależnego Towarzystwa Kursów Naukowych. W okresie od sierpnia 1980 roku syngatariuszka listu 64 intelektualistek i intelektualistów popierającego strajki, apelującego o działania „bez rozlewu krwi”. W 1981 roku prelegentka na Kongresie Kultury Polskiej, którego obrady przerwało wprowadzenie stanu wojennego. W 1982 roku w ramach represji politycznych zwolniona z Uniwersytetu Gdańskiego (przywrócona w 1983 roku).

W latach 2000-2004 przewodnicząca jury Nagrody Literackiej Nike. W 2007 finalistka tej nagrody za książkę *Niesamowita Słowiańszczyzna: fantazmaty literatury*.

Konkursy

51. Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej

Organizatorzy konkursu: Świdwiński Ośrodek Kultury w Świdwinie, Urząd Miasta Świdwin, Zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie, Starostwo Powiatowe w Świdwinie, Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna im. Jana Śpiewaka w Świdwinie.

Celem konkursu jest rozwijanie zainteresowania współczesną literaturą, stwarzanie miejsca spotkań i dyskusji o kulturze oraz kultywowanie tradycji twórczości Jana Śpiewaka.

Począwszy od roku 2020 motywem przewodnim konkursu są „Reakcje”, które należy rozumieć jak literacką odpowiedź na problemy współczesnego świata. Ponadto co roku będzie ogłaszany temat edycji. W roku 2020 jest to temat: *Izolacja mój/nasz świat w pandemii*.

Począwszy od roku 2020 formuła konkursu zostaje rozszerzona. Wyodrębnione zostają dwie kategorie: Poezja i Reportaż.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest: a) w kategorii Poezja przesłanie czterech jednakowych zestawów zawierających od 3 do 5 wierszy o dowolnej objętości, format A4, wielkość czcionki 12, interlinia 1; b) W kategorii Reportaż czterech jednakowych zestawów zawierających jeden reportaż o objętości do 10 stron format A4, wielkość czcionki 12, interlinia 1.

Każdy utwór powinien być oznaczony godłem (w formie słowa, bądź wyrażenia, a nie znaku graficznego), tym samym godłem należy zaznaczyć dodatkowa kopertę, w której znajdują się dane osobowe.

Konkurs adresowany jest do wszystkich autorów pełnoletnich, bez względu na przynależności do jakichkolwiek związków twórczych oraz dotychczasowy dorobek artystyczny.

Na konkurs należy przesłać utwory, które dotąd nie były publikowane i nagradzane w innych konkursach literackich.

Udział w konkursie jest zgodą autora na nieodpłatne wykorzystanie nagrodzonych i wyróżnionych utworów w formie publikacji przez organizatora konkursu (plakat, publikacja w mediach lub prasie itp.)

Termin nadsyłania prac do 16.09.2020 roku na adres: Świdwiński Ośrodek Kultury, ul. Nie-działkowskiego 17; 78-300 Świdwin, z dopiskiem „Konkurs Literacki”.

Organizator nie zwraca prac nadesłanych na konkurs.

Oceny nadesłanych prac dokona jury powołane przez głównego organizatora.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

Poezja: Nagroda główna: 1.500 zł, Nagroda II stopnia: 1.000 zł, Nagroda III stopnia: 500 zł, Nagroda publiczności: 500 zł, Wyróżnienie: 250 zł.

Reportaż: Nagroda główna: 1.500 zł, Nagroda II stopnia: 1.000 zł, Nagroda III stopnia: 500 zł, Nagroda publiczności: 500 zł, Wyróżnienie: 250 zł.

Utwory zakwalifikowane do nagród i wyróżnień wezmą udział w Turnieju o Nagrodę Publiczności, który odbędzie się podczas imprezy finałowej w dniu 17 października 2020 na Zamku w Świdwinie. Autorzy nagrodzonych i wyróżnionych utworów zostaną zaproszeni do Świdwińskiego Ośrodka Kultury na imprezę finałową. Organizator zwraca koszty podróży na terenie kraju (PKP i PKS).

Warunkiem otrzymania nagrody jest osobisty udział autora w imprezie finałowej w dniu 17 października 2020 roku w Świdwińskim Ośrodku Kultury. Wyjątkiem może być wydarzenie losowe dotyczące laureata, lecz ostateczna decyzja należy do Organizatora.

Pozostałe informacje na stronie organizatora konkursu.

40. Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Milowy Słup”

Rusza kolejna, 40. edycja Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Milowy Słup”. W tym roku to szczególna edycja, ponieważ jubileuszowa. Organizatorem jest Miejska Biblioteka Publiczna w Koninie i Miasto Konin, a współorganizatorami Towarzystwo Przyjaciół Konina i Konińska Fundacja Kultury. Głównym celem konkursu jest inspiracja i popularyzacja twórczości poetyckiej, ujawnianie talentów oraz stworzenie możliwości wypromowania najlepszych prac poprzez wydanie ich w tomiku poetyckim. Ten konkurs to zjawisko unikalne bo tu jest publiczność, która chce się spotykać i porozumiewać językiem poezji, czyli najpiękniejszym stanem polszczyzny każącej myśleć! – tak o konkursie wypowiedział się profesor dr hab. Tomasz Mizerkiewicz z Instytutu Filologii Polskiej UAM w Poznaniu.

Podobnie jak i w ubiegłych latach patronat nad poetami objął prezydent Miasta Konina.

Zapraszamy do zapoznania się z regulaminem konkursu:

<https://www.mbp.konin.pl/index.php/start/pliki-do-pobrania/summary/16-milowy-slup/36-regulamin-i-karta-zgloszenia-ogolnopolskiego-konkursu-poetyckiego-milowy-slup-2020.html>

Spodziewamy się, że na tegoroczny konkurs, podobnie jak na poprzednie jego edycje, wpłynie ponad 300 utworów. Rozstrzygnięcie konkursu i uroczyste ogłoszenie wyników nastąpi w październiku 2020 roku, a na Państwa prace czekamy do 18 września 2020 roku. Alfabetyczna lista laureatów ogłoszona zostanie 5 października 2020 roku na stronie naszej biblioteki.

Andrzej Walter

W drodze do Itaki (2)

Zostawmy to. Nie po to w końcu szukamy piękna, aby stanowić i rozprawiać o brzydocie, nazywanej dziś często, dla niepoznaki podskórnej handlowej żądy, sztuką. Wróćmy do Zorby i jego świata. Wróćmy do tego świata, w którym nie wypaczono znaczenia i sensu słowa sztuka, piękno, zachwyt... To chyba jednak niekoniecznie musi być świat Zorby z konkretem czasu tej opowieści, z naznaczeniem faktami: książki, jej publikacji i odniesień autentyczności wydarzeń w konkretnych miejscach i przestrzeniach. Wróćmy do Zorby współczesnego i jego możliwej modyfikacji, możliwości jego spotkania, wystąpienia, pojawienia się, jego duchowi przeniesionemu w XXI wiek – czy jest to w ogóle możliwe? Dramatyzm tego pytania usiłujemy często rozsypać poezją, ucieczką, murem, który budujemy niepostrzeżenie wokół nas i wokół ludzi nam towarzyszących. Usiłujemy go obłaskawić namiastkami, plastikiem, ersatzem postępu i czymkolwiek innym, nie godząc się bodaj na nierealność zaistnienia Zorby we współczesności. Bo prawda jest brutalna i dojmująca. W XXI wieku dla Aleksa Zorby doprawdy nie ma już miejsca. To nie jego czas, nie jego świat i nie jego wolność. Wszelki autentyzm skradły nam rekwizyty. Zastąpiły go.

Jakże dosadnie i smutno zauważył to grecki poeta Georgios Th. Vafopoulos (1903-1996) w wierszu „Waga”:

*Na jednej szali połów słońce,
połów morze i jego śpiew.
Wszystkie wyspy Morza Egejskiego
z muszlami szczęśliwych poetów.
Co jeszcze pozostaje? Miłość. Połów więc
na wierzchu, ponad wszystko, miłość.*

*A jednak tę piramidę radości
może przeważać najmniejszy nawet
położony na drugiej szali
szpitalny rekwizyt.*

Któż jednak dziś wsłuchuje się w tego rodzaju ostrzeżenia, któż podąża drogą słów, drogą wartości oraz ich miary, któż się dziwi, zachwyca, kto szuka? Garstka zaledwie – i to mocno rozproszona – niezutyliizowanych wrażliwców jak najbardziej do „tego świata” niedostosowanych, jakże mocno śmiesznych i jak silnie odszczepionych od tych wszystkich mas, jej rozrywek i spluczki popkultury... Choć chyba obrazam tu popkulturę, która we wstępnej swej fazie potrafiła wytworzyć jakieś głębie, kanony i wartości. To obecna jarmarczna *postpopkultura* nastawiona na zysk i celebry, która z kulturą nie ma nic wspólnego, rozbiła całość zarówno „tego” jak i „tamtego” świata dezintegrując całokształt tego co nazywamy człowiekiem i człowieczeństwem. Przecież dziś wszystko jest na

sprzedaż. Nie ma szali, nie ma wagi, brakuje odważników. Zorby dziś nikt przecież nie potraktowałby poważnie... Raczej zamknięto by go w zakładzie psychiatrycznym. Gdyby go spotkano.

I może właśnie o to chodzi. Na tym casusie opiera się ponadczasowa wartość postaci Greka Zorby. Na tym opiera się konstruktywność terapii poprzez tę lekturę. Bohater Kazantzakisa nie mieści się w żadnym schemacie. Trudno go porównać z kimkolwiek w historii literatury i jaką miarą byśmy nie próbowali uchwycić Aleksa Zorby nie uda nam się to. Ta postać czasem drażni, czasem rozrzuca, często rozbawia, czasami wywołuje nastrój zadumy i melancholii, a bywa, że irytuje tak mocno, że moglibyśmy ją zakwalifikować do postaci mało realnych w swoim wyrazie.

Zorba jest przecież kalką nas samych choćbyśmy nie wiem jak zaprzeczali. Raz w sensie dosłownym, a innym razem w sensie metaforycznym, w sensie ukrytym, co rozumiem przez stan taki, że są chwile, sytuacje i wydarzenia, iż chcielibyśmy właśnie zachować się tak jak on. Można zatem ująć to tak – Zorba stanowi swego rodzaju wymiar nas samych – wymiar dążeń, prób i poszukiwań stanu wolności doskonałej, do której jako postać fikcyjna sam ponoć zmierza. Owa fikcyjność jest bardzo bezpieczna. Powoduje, że nasza wolność czytelnicza mimo wszystko nie zostaje skonfrontowana z potrzebą decyzji w świecie realnym. A jednocześnie pozwala nam wyobrazić sobie, ile znaczy dla nas taka wolność, jakie sami sobie – ustanawiamy jej granice i kim, tak naprawdę, jesteśmy. Zorba pozwala nam zadawać sobie samym bardzo trudne pytania. Często takie, na które wiemy, że nie istnieją żadne odpowiedzi. Wykreowanie tej postaci to mistrzostwo w najczystszej postaci. Autor dotknął literackiego raju, jeśli taki w ogóle istnieje...

Aleksy Zorba zaczepia nas i prowokuje:

Jak Ci już raz mówiłem, Szeffie, każdy ma swój raj. Twój raj, na przykład, zapchany będzie książkami i wielkimi butlami atramentu. (...)

Zapewne teraz śmiejesz się ze mnie, Szeffie, mimo to wysłuchaj moich bredni albo – jeśli wolisz – moich rozważań czy lamentów, chociaż – jak mi Bóg miły – nie wiem, czym różnią się wszystkie te trzy określenia. Piszę, a Ty śmiejesz się, jeśli masz ochotę. Ja też się śmieję, wiedząc, że Ty się śmiejesz – i w ten sposób śmiech nigdy nie znika ze świata. Każdy człowiek ma jakiegoś fioła, ale zdaje się, że największym jest mniemanie, że się nie ma go wcale.

Tak właśnie zepsuto ten świat. Po pierwsze niszcząc nasze raje, poczynawszy od same-

go pojęcia „raju”, a skończywszy na ich dekonstrukcji, poprzez (to o wiele wcześniej, aż do dziś) medialną manipulację istotą owych rajów, czy, rzecz jasna zwanych już inaczej – jak kto woli – pasjami, hobby, zainteresowaniami, aż po nic nie znaczące hasła samorealizacji, będące atrapą na korporacyjno-niewolniczą rzeczywistość. Atrapą czy też wentylem bezpieczeństwa dla jednostek, a poprzez nie dla całych społeczeństw. Raj czytelnictwa również jawi się tu jako nudny i niemodny.

Ponad to nasz świat zepsuto też... ależ oczywiście, jakże by inaczej, psychoanalizą „fioła”... „Fioł” musiał zniknąć z przestrzeni rozpoznania człowieka i jego istoty. „Fioły” zaczęto „leczyć”. „Fioł” stał się synonimem ludzi nierozważnych, nieodpowiedzialnych, nie stających twardo na Ziemi. Wykreowano natomiast innego rodzaju „fioły”, rzecz jasna nazywając je już zupełnie inaczej. Konsumpcja. Siłownia. Potrzeby. Fitness. Ekologia. Globalne ocieplenie (zwłaszcza podczas mrozów do minus trzydziestu)... I wiele, wiele innych fiołów współczesności. Do tego najlepiej, aby owe „fioły” były realizowane masowo, tak, żeby każdy producent gadżetów niezbędnych do uprawiania tych *zdrowych i poprawnych zachowań* mógł wszystko nam upchnąć do naszych coraz przepastniejszych kieszeni, za pieniądze z wręczanych nam ochoczo kart kredytowych i kredytów, które ktoś, kiedyś spłaci. Tudzież za niewolnictwo współczesności w biurach i korporacjach. Po nas choćby i potop. Choć sensu tego zawołania nie rozumieją zbytnio kreatorzy wyżej opisanych mód, póż i reakcji, do których wytwarzania zostali powołani. *The show must go on* – jak śpiewał swego czasu Freddie Mercury. (Czyż nie On – między innymi – nie chciał być na swój sposób nowoczesnym Zorbą...?). A rzeka dalej płynie... Tylko to już nie rzeka, tylko ściek i już nie płynie, nie wpada do morza, nic nie symbolizuje.

Greku Zorba, cała ta powieść, jej atmosfera, duch, warstwa emocjonalna, postacie są jakby z innej bajki. Tak mocno skonstrastowane ze światem współczesnym, że możemy się w niej przegłębiać jak w zwierciadle. Każdy może się w swej izdebce zastanowić dziś ile jest w nim Doriana Graya. Ciężko byłoby jednak rozważać ile w nas jest z Aleksa Zorby? W jakim stopniu dogonił współczesność, na ile jej się poddał, jakie granice „fioła” przekroczył i kim się stał. Takie refleksje dane będą jedynie osobnikom z wyobraźnią, ale i właściwym dystansem do wszystkiego, łącznie z samym sobą. Czyż nie jest to jeden z aspektów „szydzenia z własnej duszy”? Jednak aby z niej szydzić, trzeba ją wcześniej w ogóle posiadać...

(Dokończenie na stronie 4)

W drodze do Itaki

(Dokończenie ze strony 3)

Grecka poetka Rita Bumi-Papa (1906-1984) radzi nam:

*Nie próbuj upodobnić się do skały
czy ziarenka piasku.
Skała przypomina głuchego człowieka
piasek nigdy nie rośnie.
Bądź podobny do fali:
zamyka w sobie siłę
muzykę
i patos.*

Po co komu dziś patos? Naiwny wykwit ośmieszonych idei. A jednak wydarza się on „gdzie indziej”. W tandetnym kiczu codziennych wiadomości, w pułapce rubasznego pseudohumoru, w rozrywce: łatwej, lekkiej i przyjemnej jak bierność egzystencji, jak jej marazm złapany w szklany ekran setek kanałów oraz podawanej tam papki wypełniacza ludzkiego losu zgaszonego nudą. Współczesny koszmar rozgrywa się „gdzie indziej” i to „gdzie indziej” przykleja się do naszych dusz. Choćbyśmy i nie chcieli.

Smutno kończy się „Grek Zorba”. Tak smutno jak i dogasać też będzie nasze życie. Piękna katastrofa. Koniec. Rozstanie. Pamięć i tęsknota. Siłą trwania jest tu pamięć. Siłą życia tęsknota. Narrator powieści – młody, zagubiony intelektualista – mówi do nas:

– Mogę się mylić, Zorba, ale myślę, że istnieją trzy rodzaje ludzi: ci, którzy za cel uważają korzystanie z życia, dobre jedzenie, picie, bogactwo i sławę. Następnie tacy, którzy za cel biorą nie własny byt, ale dobro wszystkich ludzi, czują bowiem, że wszyscy ludzie stanowią jedność, próbują więc ich oświecić i uczynić szczęśliwymi; kochają ich. Wreszcie są i tacy, których celem jest żyć pełnym życiem wszechświata. Wszyscy i wszystko, ludzie, zwierzęta, rośliny i gwiazdy stanowimy jedność. Jesteśmy tą samą istotą toczącą straszliwą walkę. Walkę o to, by materia stała się duchem.

Tak oto mówi do nas i myli się. Myli się w każdym calu za wyjątkiem dramatyzmu tej straceńczej walki ... walki z duchem i z materią. Proporcje owej walki zmieniają się wraz z biegiem rzek, z biegiem dni, z historią ludzkości i z naszymi własnymi prywatnymi historiami zanurzonymi w danej, konkretnej, w wymiarze tu i teraz – rzeczywistości. Raz jest w niej więcej ducha, innym razem więcej materii, a w czasach dzisiejszych przyszło nam tkwić w świecie prawie samej materii podniesionej do rangi oszustwa wszechczasów. Tym oszustwem jest światopogląd naukowy, który za pewnik uznaje to, że wszystko musi być dowiedzione. Ciężko się wyrwać z takiego świata i ciężko w nim unieść „duszę ku gwiazdom”. To prawie niemożliwe. A jednak?

A jednak filozoficzny wymiar „Greka Zorby” przekracza doraźne traumy. Wiedzie nas w zaułki doznań metafizycznych, w meandry podróży i snów, we wciąż nowe wymiary ważnych prawd. Choćby takich, że ponad prawo, ponad brutalność prawdy ważniejsze są wieczne i nieskończone wartości: miłości, prostodusznego miłosierdzia oraz naszej najgłębszej duchowej świadomości – jedynych recept na dramaturgię współczesności. Jak było zawsze tak wydarzy się i teraz...

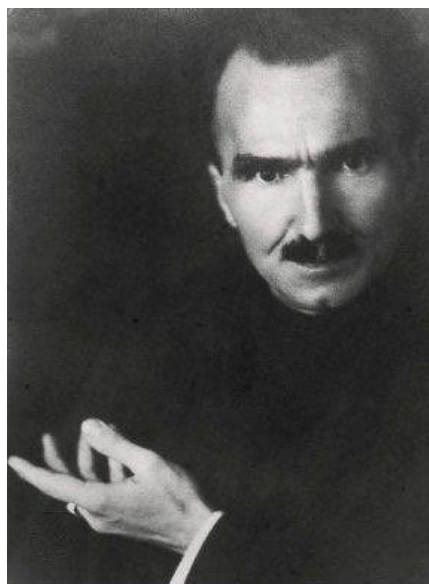
Jakże bliski, nam, Polakom, jest „Grek Zorba”. Tu i teraz, w kraju setek żyjących i piszących poetów, w kraju, który idzie teraz drogą dziczalnego, rezerwatowego i bezymyślnego kapitalizmu, przeciwstawiając tych piszących wrażliwców hordom bogacących się barbarzyńców, w kraju – zawsze nad Wisłą i ciągle nad przepaścią – jak zwykle. Jak od wieków, jak jutro i za dzień i za tydzień. I jak już bodaj po kres. W krainie, w której poeci umierają biednie, bezsilnie i szlachetnie, do końca wierząc w siłę słów, które już mało kogo potrafią dziś budzić.

*W jasności słońca
odkryłem swój cień*

*W ataku nocy
dobrodziejstwo gwiazd*

*W gromadzie ludzi
swoją samotność.*

Oto znów Ilias Simopoulos w wierszu *Autopoznanie...* czyż nie odkrywa nam pewnej szansy zaczerpnięcia z tej samotności sił witalnych aby przetrwać?



[Zdjęcie ze strony:

<https://pl.pinterest.com/nationalherald/noteworthy-greeks/>]

Nikos Kazantzakis

To samo znajdujemy na kartach „Greka Zorby”. Tam samotność wiedzie do pewnej konkluzji –

Ukojony, przymknąłem oczy. Miałem dziwne mistyczne uczucie, jakby cud otaczającej mnie zieleni był rajem, a świeżość powietrza i spokój – Bogiem. Bóg co chwila przybie-

ra inne oblicze i chwala temu, kto potrafi rozpoznać go pod każdą z tych postaci. Bywa szklanką zimnej wody, synem, który figluje na ojcowskich kolanach, czarującą kobietą lub po prostu krótką poranną przechadzka.

Stopniowo wszystko wokół mnie, nie zmieniając kształtu, stawało się snem. Sen i jawa przyjmowały to samo oblicze. Spałem i śniłem rzeczywistość. Byłem szczęśliwy. Ziemia i raj zespoliły się w jedną całość. Życie wydawało mi się polnym kwiatem, kryjącym w swym sercu gęstą kroplę miodu, w niej ujawniło się życie, a dusza moja była niczym leśna pszczoła, skrzętna, szukająca słodyczy.

Nagle ze stanu błęgiego ukojenia wyrwały mnie brutalnie czyjeś kroki i szepty. W tej samej chwili usłyszałem radosne wołanie:

– Szefie, w drogę!

Przedemną stał Zorba, w jego oczach igrały diabelskie ogniki. (...)

W drogę.

Jeśli zamierzasz do Itaki dotrzeć życz sobie długiej wędrówki. Nie śpiesz się. Idź powoli. Spokojnie. Wytrwale. A kiedy już do niej dotrzesz może okazać się: głucha, biedna, rozczarowująca, brzydka i inna, niż ta, wyczekiwana...

Wspomnij wtedy całą tę wędrówkę, jej blaski, cienie, jej wymiary oraz sensory, wszystkie ważne doznania, radości, porażki i zwycięstwa. Wspomnij całe to doznane bogactwo.

Wtedy, być może zrozumiesz, co znaczy Itaka...

Koniec

Andrzej Walter

Nikos Kazantzakis, „Grek Zorba”. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2016, s. 384.

Pierwsze wydanie światowe ukazało się 1946 roku, pierwsze wydanie w Polsce ukazało się w przekładzie Nikosa Chadzinikolau w roku 1971.

Antologia poezji greckiej XX wieku. „Nowe przesłanie Iłara”. Wydawnictwo Poznańskie, 1980, stron 364. Wydanie II zmienione. Wyboru utworów, tłumaczenia z języka greckiego wraz z przedmową i komentarzami – Nikos Chadzinikolau.



Kadr z filmu „Grek Zorba”
w reżyserii Michaela Cacoyannisa
z Anthonyem Quinnem w roli głównej.

Mniej Więcej (187)



Foto: Zofia Mikula

Bardzo ważne wiersze

To jest już ósmy zbiór wierszy Andrzeja Waltera. Pierwszy jego tomik ukazał się w 2003 roku. No i „ogary poszły w las”! No i nie zawrócą, bo Walter literaturę pokochał – cudny dotek, w który my wszyscy na amen wpadamy.

Leszek Żuliński

Walter jest bardzo mocno przywiązany do poezji. Na początek przeczytajcie wiersz pt. *na dnie*. Oto on: *Nikt nie wie czym jest poezja // Proza uwalala się w błocie i to błoto ma smak / komercji / Jeden dobry strzał / i na konto wpływają ci / miliony lajków / albo sterty znajomych nieznanym albo lubią cię wszyscy / którzy zahaczyli cię za szybą / super-ekranu // I potem kupujesz wszystko za wszystko i nic za nic / Nie jest jednak tu wiele warte / Szklana kula / wyznacza możliwe scenariusze a droga jest jedna / Na dno / Jednak dno / jest tu również wiele warte / Jak to dno bez denne dno / które czyni / niewidzialnym.*

Osobliwe to wiersze. Mało w nich opowieści o sobie. Andrzej oczywiście wpisuje tu własne doznania i zdarzenia, jednak *de facto* on opisuje rzeczywistość i to często z ostatnich miesięcy, które wszyscy nosimy na garbie.

Przytaczam kolejny wiersz pt. *unisono*: *wirus powstał w piekle twoich rąk / w gorączce czyichś ust na pustyni zła / a potem ktoś go wydał / na pastwę życia i śmierci / za wydłużenie kompulsywnej / przyjemności // a potem nagłówki tytuły pierwsze strony dnia / złotej godziny marzeń kiedy wszystkim świecą twarze / półcieniem ekranu // świat zdenominowanych prorocत्व / zamkniętych kościołów / zdradzonych ludzi / świat na okrągło / dobrze poinformowany / o liczbie ofiar // świat co / zapomniat o włóczędze / który marzył / na peronie / do raję // opóźnienie może ulec zmianie.*

To, oczywiście, jest wiersz związany z

naszą pandemią. Sporo tu walącego się świata, jaki dopadł nas kilka miesięcy temu. Nie wiem, czy wszystkie tu wiersze powstały bardzo niedawno, może niektóre już dojrzewały wcześniej, ale to bez znaczenia, bowiem skomponowana tu aura jest akurat absolutnie „na czasie”.

Ale są też wiersze bardziej uniwersalne, jak na przykład ten pod tytułem *pokolenie spoza czasu*. Przeczytajcie go koniecznie: *nigdy nie byliśmy pionierami / nie wypłynęliśmy odkryć Ameryki / nie zdobyliśmy żadnej krainy / oprócz ciemnej strony mocy // przeżyliśmy życie drepąc w miejscu / pod nierzucającą się w oczy latarnią / z sercami podwieszonymi jak lampiony / pod sklepieniem zwątpienia // zebraliśmy o każdy okruczeństwo / o łaskawy szmer ukojenia / o każdy udawany gest bliskości / wbrew wilczym prawom chaosu // byliśmy jak bohaterowie kreskówek / o niemilkącym labiryncie cieni / i jak zjawy przeszłości / w przypadkowych zwierzeniach turystów // właściwie nas nie było / okłamałliśmy wszelkie liczby / a każda policzalność / odmawiała nam posłuszeństwa // i wciąż snujemy się po beznadziejnie szybkich łączach / światłowodów uniesień i ciągle jesteśmy / poprawni przerebiani / modyfikowani niczym // nieplanowany chromosom.*

Chryste Panie! Ten wiersz jest najlepszym, jaki ostatnio czytałem. Głęboko mądry i dający nam wiele do myślenia.

Ja czytam tomiki nieustannie, bo taka jest moja rola. Średnie, lepsze, gorsze. Tak zwany tom wysokiej miary zdarza się rzadko.

Powoli kończę te przykłady i te wywody. Ale jeszcze jeden wiersz pt. *rozmowy z panem x*. Przytaczam: *Bardzo mi miło / pan to wie jak ocalić poetę Wystarczy go napoić tanim / alkoholem wstawić na salę z niepodłączonym mikrofonem / i ogłosić że zbawia świat // Dzień właśnie dogasa Rozpoczynamy bal Bal wszystkich / świętych Zapowiedział się / nawet król ciemności Wygłosi orędzie / co dalej // wie pan mnie to już mało obchodzi odkąd wypisano mnie / z ocalonych Jestem już / tylko przypadkiem podzielonym przez zaślankanie / na polach / przeznaczenia // Trawi mnie gorączka / jałowych dróg ten nowotwór oczekiwania podstępny impuls / zmysłów martwota rezygnacji a może i sama śmierć / bez śmierci wie pan... // niełatwo to wytłumaczyć skoro pan tak sobie beztrąsko / żyje i działa Pozornie wszystko płynie // ale zabija nas bezruch / rozkosz apatii beznamiętny bezwład okruczeństwa dni i nocy / duszna wiara / koniec i początek.*

Te wiersze są „ulepione” w dykcji jakiej nigdzie nie znajdziecie. Nowy *timbr!* Ale ich sedno tkwi w ważnych treściach, których wcześniej nie smakowaliśmy. Poetyckość poetyckością, lecz Andrzej Walter znalazł formułę „innej poezji”. I na to proszę zwracać uwagę podczas lektury.

Teraz już wszystko w Waszych rękach!

Andrzej Walter, *Korożja*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Andrzej Walter, Krzysztof Galus. Wydawca: Marszałek Development & Press, Toruń 2020, s. 64.

Andrzej Walter

tam

nie pójdę więc do nieba
nie ocalę błękitu
nie wskreszę również
dni ostatecznych

mijamy się chłodem
jak pluszowe misie
z 1969 roku

tak jest teraz mija się ludzi XXI wieku:
papierowe twarze ujednolicone maski
wyczerpani i wolni
królowie życia

ot napisałbym dobry wiersz
ale na to jest już zbyt późno

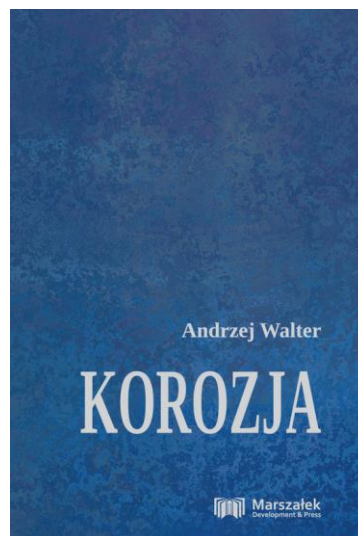
na wiersze słowa
na stokrotki i na wrzący
od żalu
lód

twoje miejsce

czas jak wrona
czarna skrzeczy
przydziela ci miejsce
twoje miejsce
w rządach miejsc
ponumerowanych cieniem

powinieneś znać
swoje miejsce
wiedzieć na co cię stać
może nigdy
nie polecisz
do nieba

bo niebo jest za daleko
jak na głowę
w jej białej bieli
która niczym się nie wyróżnia
na białej karcie
poezji



Aleksandra J. Starostecka

lęk

o miłości nie mów
bywa bezwstydną
i o śmierci nie mów
jest nieprzejednana

dotyk paraliżuje rozum
sączy suche krople łez
bezlitosne pędzą demony

coraz trudniej
oddycha czekanie

nie było mnie

w szpitalu ludzie umierają
zawsze tak mówiłaś

nie było mnie
przy tobie

słyszę nieznośną ciszę
westchnienie czasu

mój świat rozpadł się
w jednej chwili

jesteś ale cię nie ma

osaczona snem zasypiam
kiedy chce on – nie ja
budzę się
kiedy chce on – nie ja

serce pyta czy ma bić
czy zamilknąć
jak twoje
nieobecnością

chaotyczny sen nieustannie
otwiera ból

dalej

jest coś do czego o każdej porze
dnia i nocy można wrócić
zatrzymać czasu przemijanie

jest coś co pozwala na nowo
zachłusnąć się pragnieniem
albo dawnym uniesieniem

jest coś dzięki czemu
będziesz żyć dalej
życiem prawdziwym nie złudzeniem

trzeba wrócić do wspomnień
trzeba wrócić do wierszy

Maria Wardzichowska- Woźniak

wysłowiona

wysłowiona
dopiero zrozumiałam
w co zostałam wyposażona
niebo które widzę
mam takie samo
i ziemię i to co na niej
a ta cała wędrówka
to tylko odkrywanie w sobie tego
co na zewnątrz

odkrywanie słowa
które nim jeszcze nie jest
ale nawet gdyby miało przyjść
w ostatnim wydechu
przyjdzie

będę czekała
aż się odezwie i powie
to ja

czemu tak długo mnie nie zauważałaś czemu
tak długo pisałaś nie mnie

pośrednik

mowa to tak
jakby wszystkie struny we mnie
śpiewały
ale nie usta ani słowa ani znaki ani palce
nic co przypomina wypowiedź
za pomocą czegoś

tylko
jak z ust do ust
z oczu do oczu
z rąk do rąk

bez tego pośrednika
który zanim doleci do celu
zmienia się nie do poznania
zanim wyjdzie z ust mówi nie to
co miał powiedzieć
zdradza

koniec świata

ciągle piszę jeden i ten sam wiersz
w którym nic się nie powtarza
każde drzewo liść ptak dźwięk
są inne
jakby się wydobywała ze mnie
identyczna
choć za każdym razem
odmiennie brzmiąca
piosenka

a jednak

nie da się ciągle powtarzać
tej samej melodii
słowa dźwięku

nie mogę w nieskończoność
być szczęśliwa
nie tutaj
tu jest się
za cenę końca świata

mgła

im częściej słyszę odpowiedź
tym częściej zadaję
to samo pytanie
do czego zostałam stworzona

tracę pamięć
nie pamiętam
że przed chwilą już nie pamiętałam

czy mogę liczyć na to
że ją odzyskam
na jak długo jej starczy
żeby mnie przywróciła
na stałe
do tego
co jest mi przeznaczone

czy dopiero wtedy
gdy zetnę z oczu ten świat
jak mgłę

* * *

potem będzie
ten sam czas wstawania i ścielenia łóżek
brania śniadań
przygotowywania się do snu
potem będę weselsza gdy
dostanę się tam gdzie
bardzo chciałam być
otworzy się jeszcze raz
to samo
pójdzie za mną krok w krok
nawet jeśli się skończy
to jakby chyłkiem się przeniosło
do nowego bezczasu lub czasu

tak to będzie wyglądało
ja nowa
przemienię się w dawną

nie poddam się myśli
że koniec jest jakby go nie było
od samego początku

* * *

dzisiaj jest takie piękne słońce
tylko ta spalona katedra
o czymś przypomina

żeby się zatrzymać
i pomyśleć
o za szybko odlatujących od nas
ludziach
których nic nie zdołało zatrzymać
tak są nieżywi jakby spłonęli

bardziej niż ona
bo z prochu da się odtworzyć
budowlę
a najwyżej w niebo wzlatające kamienie
nie zastąpią żywych

dzisiaj jest taki dzień
jakby chciał nas objąć
i przytulić
żebyśmy bardziej niż po sobie
po tej katedrze nie płakali

spóźniona

zajęta życiem nie zauważyłam
że wszyscy się wynieśli
pusto tutaj jak na cmentarzu
nie mogę do nich dołączyć
przestałam ich rozumieć
posługują się tym samym
obcym mi językiem
jestem dla tych których tutaj nie ma
nie była niemówiąca
więc to że jestem zdumiewa
bo jak można być
nieistniejącą
dla nikogo

rzeczywistość

może kiedy wstanę
świata nie będzie
ład zarwie się pode mną
i spadnę
w coś tak odmiennego
że ja nasycona tym nie ja
uznam siebie za żart

bo rzeczywistość jest bardziej okrutna
i nieodwołalna
niż można przypuszczać
odwraca się ode mnie
niespojona ciałem pragnieniem i tęsknotą
rozwieram się
nie stawiam oporu
przechodzę przez ściany

na ekranie mnie widać
poruszam się
odgrywam teatr życia
sama dla siebie nieświadoma

tylko dla tego kto mnie wprawia w ruch

poza słowami
a może świat
jest
poza słowami
i w nim przebywasz
tam czekasz
ale jak
wniknąć w nienazwane
w tę rzeczywistość ciała
która jest jednocześnie duchem
niewidoczna dla oczu
a tak namacalna
że się o nią potykamy

Michał Bukowski

maile

słowo za słowem
kolejne znaczenia
niczym warstwy farb
na obrazie

palce na klawiaturach

przesuwają
kontury treści

chichot myślników
implikatury rozdyma

w pogoni
za wspólnym
potykamy się
na przecinkach

też

uśmiechnięty
miły młody człowiek mówi
do mnie językiem
nienawiści

tak,
kochaj bliźniego i tak dalej
zna
to zdanie

z obowiązkowych lekcji
religii

wiele lat temu jego dziadkowie
budowali z ludzką twarzą
socjalizm

też

nie wyszło

myśli niedobre

swoje myśli niedobre
owiń w gazety stare

po co ci myśli niedobre?
po co ci słowa zleżałe?

zanieś to wszystko na pocztę
i pilnie nadaj w minione

niech je tam ciemność pochłonie,
jak buty w wodę wrzucone

a gdyby chciały powrócić
kup im do piekła miejscówkę

niech sobie jadą do diabła –
wreszcie masz czas na kremówkę

kara za życie

chodzisz już wolniej
szybciej za to oddychasz

widzisz coraz bardziej nieostro
podczas gdy sprawy wyostrzają kontury

więcej też rozumiesz –
mimo, że przecież słabiej słyszysz

i po co komu
ta starość –

niczym
kara za życie

Dariusz Pawlicki

Pogodzenie

Jętka jednodniówka
Umierając z pierwszymi ciemnościami
Tłumaczy sobie że nie ma czego żałować
Skoro Świat cały też
Istnieć przestaje

* * *

Przed wejściem do banku
Leży martwy ptak

Zimny wiatr
Przelicza jego pióra

Samobójstwo
Albo zawał

W tym miejscu nic innego
Nie przychodzi mi do głowy

Nie...

Nad grobem Ignacego Herbszta
Mego pradziadka posadzono lipę
Jako że na chleb zarabiał strugając
Z drewna lipowego i olchowego drewniaki
W krainie głązów i pagórków polodowcowych
Zwano je klompami
Był w tym bardzo dobry – jako jeden z niewielu
Wykonywał je również na dziecięce stopy
Dzieła swych rąk sprzedawał na jarmarkach

Nie, mój pradziadek nie był lekarzem
Nie był też prawnikiem ani ziemianinem...



Anna Andrych

A-B-R-A-C-A-D-A-B-R-A

Zbigniewa Gordzieja

Zrozumienie tytułu książki poetyckiej **Zbigniewa Gordzieja** ma istotne znaczenie dla właściwego rozumienia jej zawartości. Spójrzmy na wiersze mierząc je miarą, z którą proponuję zapoznać się na ich progę.

ABRAKADABRA: Pierwsza pisemna wzmianka na temat tego słowa i amuletu znajduje się w wierszu autorstwa Quintusa Serenus Sammonicus, który był lekarzem cesarza Sewera podczas jego ekspedycji do Brytanii w 208 roku naszej ery. W rozdziale 51 tej książki medycznej napisanej wierszem o tytule *De Medicina Praecepta Saluberrima* autor zaleca, aby osoby cierpiące na malarię nosiły amulet zawierający wspomniany wyraz w formie zwężającego się ku dołowi trójkąta.

Być może słowo to pochodzi od aramejskich wyrazów: *Ab* (Ojciec), *Bar* (Syn), *Ru'ach Acadach* (Duch Święty), a trójkątny kształt amuletu również symbolizuje Tróję Świętą, przez co zawarta w nim moc odbija negatywne energie. Albo jako zaklęcie pochodzi od frazy *bara ke dabar* (*BRA K DBR*) tłumaczonej jako: „zrobił jak powiedział” lub wywodzi się od imienia Abraxasa – boga, którego wizerunek pojawiał się na talizmanach i amuletach noszonych przez gnostycką sektę kierowaną przez Bazylidesa z Aleksandrii (litery tworzące greckie słowo „Abraxas” symbolizują ponadto siedem planet).



Amulet ABRACADABRA

Zapis słowa w taki sposób, że w kolejnej linijce odejmowana jest jedna z liter, dla naszej podświadomości jest sygnałem, że czegoś ubywa, że coś przestaje na nas wywierać wpływ, że jakaś siła maleje, a w konsekwencji stajemy się wolni od jej wpływu i jesteśmy w stanie w pełni wyrazić swoją wolę. Można wykorzystać ten sposób do pozbycia się dowolnej siły, której nie chcemy w swoim życiu („precz”). Zło zostaje pokonane przez dobro, wschodzące słońce odpędza bowiem ciemność swoim światłem.

Słowo to można również znaleźć na papyrusach hellenistycznych, starożytnych i średniowiecznych amuletach z kamienia, najczęściej w połączeniu z postacią o ludzkim tułowiu z głową koguta, ludzkimi rękami i węzłowatymi nogami.

Najczęściej słowo to było zapisywane w następujący sposób magiczny:

A - B - R - A - C - A - D - A - B - R - A
 A - B - R - A - C - A - D - A - B - R
 A - B - R - A - C - A - D - A - B
 A - B - R - A - C - A - D - A
 A - B - R - A - C - A - D
 A - B - R - A - C - A
 A - B - R - A - C
 A - B - R - A
 A - B - R
 A - B
 A

Spotkać można było również taki zapis:

A-B-R-A-C-A-D-A-B-R-A
 B-R-A-C-A-D-A-B-R
 R-A-C-A-D-A-B
 A-C-A-D-A
 C-A-D
 A

(Tu: patrz taki sam zapis – strona 69 tomu Zbigniewa Gordzieja).

Amulet A-B-R-A-C-A-D-A-B-R-A podkreśla sprawczą moc słowa. To, co mówimy, wyraża nasze przekonania i myśli. Przez afirmacje jesteśmy w stanie zmienić swój sposób myślenia, wpłynąć na swoje zdrowie – zmienić całe swoje życie.

Sępijemy...

(ale)

dzisiaj krtań niech śpiewa arię o apoteozie życia

(Początek pierwszego wiersza i zakończenie ostatniego wiersza z tomu A-B-R-A-C-A-D-A-B-R-A)

Zbigniew Gordziej uważa, że *Trzeba współczesnego Heraklesa / który strzął*

Zdarzenia / zabije sępa w nas zadomowionego.

Wiersze w tym tomie nie są proste i łatwe. Trudność polega na głębokim wnikananiu w materię poezji, która podana jak na tacy, gotowa, zamknięta na ostatnie wersy, pozornie wydaje się szczelna. Można mieć wrażenie, że brakuje w niej miejsca i czasu na oddech, zawieszenie głosu, niedopowiedzenie albo zaskakującą metaforę, w końcu możliwość innej, własnej interpretacji czytelnika. Odwracam stronę z zakończonym puentą wierszem, a tu niespodzianka – jego ciąg dalszy i kolejna puenta lub jej brak, ale jest zamknięcie myśli, drzwi za wierszem. Niemal z każdym kolejnym mam pod powiekami charakterystyczny zapis na stronie tytułowej tomu, z dywidami-łącznikami i kolor liter – identyczny jak w amulecie (patrz fot. wyżej). Dywizy mają tak w amulecie jak i tytule książki znaczenie znamienne, co odnosi się do zawartości książki i jej przesłania. Jeśli nie jest to oczywiste, warto się zastanowić.

Tom otwierają wiersze, w których czytelnik jest krytyczne ustosunkowanie się autora, zajęcie stanowiska wobec sytuacji społeczno-politycznej w kraju. Zbigniew Gordziej uważa, że nie możemy być wobec niej obojętni, powinniśmy czuć i reagować, patrzeć i wiedzieć od czego i od kogo zależy los każdego człowieka i całego społeczeństwa. Zadać sobie pytanie: jak Ja – Ty – On będziemy żyć, w jakim punkcie obecnie się znajdujemy, do czego dążymy i co możemy uczynić? Z. Gordziej okazuje brak zgody na aktualny stan rzeczy, pokazuje własny punkt widzenia, zapis aktualnej, chorej rzeczywistości, chorej za sprawą władarzy, chwilowych. Spowodowali *Narodową Zaćmę*, do której dążył ten, „który w dzieciństwie ukradł Księżyc. Ukradł, więc panuje ciemność, z której tylko ostry wyborczy nóż ludzi wybierających zdrową przyszłość może wyluskać ze zmętniałego oka społeczeństwa, spod katarakty sporów i sztormów – prawdę i źródło wewnętrznej równowagi każdego człowieka, tym samym i kraju.

Poeta nie obawia się negatywnej reakcji, mówi wprost, pewnie wypowiada się na temat polityki rządu, sytuacji w kraju, polityków i dewiantów (*mównica w Sejmie, podróz do Ziemi Świętej* – „Opluwacze”).

Na początku „A-B-R-A-C-A-D-A-B-R-Y” Zbigniew Gordziej wysuwa „pazur”, strofy zaczepne. Tymczasem spod tego pazura i zaczepności, by „naciąć *Narodową zaćmę*” niespodziewanie wychodzi wrażliwy poeta, naznaczony przez życie własne, osób mu bliskich oraz tych obecnych obok tylko przez chwilę, trudną chwilę.

I tak w wierszu „Mnożenie przez dzielenie” czytamy:

*...mnożenie spraw
niczym modlitwa pisana
kolczastym drutem...*

Mnożenie – przez dzielenie się, dzielenie siebie, swojej troski, skupienia na rodzinie (np. matka: poruszanie się na co dzień wokół spraw jej dotyczących i niej samej) ale i osobach oczekujących pomocy, spotkanych na drodze codziennych zdarzeń. Skupienie na sprawach ważnych, poprzez dawanie siebie, dzielenie się tym, co jest możliwe, dzielenie się dobrem, które nie ma ceny.

W „Drugiej spowiedzi agnostyka” poeta opowiadając o mamie staruszce, o licznych jej i swoich własnych problemach, czynnościach domowych, także czynnościach „pielęgniarskich” przy mamie, wizytach u lekarzy, puentuje wiersz słowami *zawsze warto być człowiekiem* Ryszarda Riedla (Dżem). Taka jest spowiedź agnostyka, z codziennego czynienia dobra.

Zbigniew Gordziej pomieścił w tomie wiersze dedykowane lekarzom, uczonym, pisarzom i poetom. Poruszające są strofy zapisane pamięcią o ojcu, o przyjacielu (*Będzie taki toast – Przyjacielowi Leszkowi Sydorowi*), o koledze po piórze (*Pamięci Tadeusza Stirmera*), wiersze o matce, do której już nie przychodzi Erato.

Pisze o starości, ułomnościach ciała i umysłu, a także wzajemnym współzależnieniu i współdziałaniu umysłu i ciała. Pisze „dotkliwie” o bólu, który kiedyś umrze, ale i zmartwychwstanie. O ludzkim gniewie i rezygnacji. I jeszcze – o bezmyślnej agresji, brutalności nieletnich bandytów wobec bezbronności starszego człowieka. „Test butów”:

*...na jego głowie
sprawdzali wytrzymałość
butów marki Puma
Nie zawiodły
nie pękły
Dały radę kościom czaszki*

Pozostaną jeszcze chwilę przy wierszach z dedykacją, bo oto *...zdziwiony pasikonik / skrzydłem próbuje oślonić martwe oczy...* pięcioletniego Dawida Żukowskiego.

Zapisały się trwale w mojej pamięci wiersze poświęcone górcom, pisane z miłości do nich – pięknych, zapierających dech w piersiach, groźnych: *Mięgusowiecki Szczyt zdawał się mówić: / Posiadłeś nietatwą sztukę uzasadnionej rezygnacji / Schodzenie stawalo się aktem wyzwolenia, Nagła cisza / położyła palec / na wargach nocy.*

Jest to swoisty dziennik poety – a może raczej notatnik wierszowany, w którym *...wspomina minione / zapisuje teraźniejsze / przyszłe przewiduje...* I ma także na uwadze:

*...Pisać Tak
by przerywać ciszę w człowieku
Jednak
Primum non nocere*

„Wiersz o wronach” odnosi się m.in. do

historii naszego kraju, przede wszystkim okresu okupacji. A zaczęło się tak niewinnie, od wrony, która drepce obok ławki w parku, na której przysiadł poeta – inspiracja do wartościowego w efekcie wiersza.

Samotność... Poczucie niepotrzebnej własnej obecności? Dopada zwłaszcza ludzi wrażliwych, tych, którzy mnożą poprzez dzielenie – dzielenie się sobą, swoimi umiejętnościami, potrzebą dawania siebie innym. A co dopada ich „bliźnich”?

*...Bliźnich dopadła
epidemia milczenia
Wzrok chowa się po kątach*

*...Nastała moda na obojętność
przyoblekanie się w garnitur
Ja zapięty na ostatni guzik...*

(„Dezintegracja”)

Stąd cisza w eterze, telefon nie dzwoni, poczta mailowa utraciła wartość słowa, a sms wysłany za ocean szybciej doczekałby się odpowiedzi, niż wysłany do kogoś w tym samym bloku czy w tym samym mieście. O ewentualnej pomocy nie byłoby mowy. Paradoksalnie mogłoby zdarzyć się tak:

*...Słowo ma moc topora
potrafi precyzyjnie nadszarpnąć
wrażliwą tkankę serca...*

Pomiędzy mieszkańcami tego samego bloku, tego samego miasta:

*...jasne są tylko światła
skryte za zakurzonymi firanami
i szczelnymi roletami...*

Ale jak się odnaleźć w obecnej rzeczywistości, która sama woła o pomoc?

Po pierwsze: nie szkodzić.

Jest to poezja bliska zarówno ciała jak i umysłu (ducha). Zatrzymały mnie na dłużej wiersze: „Od snu do jawy”, „Druga spowiedź agnostyka”, „Echo”, „Przesłanie”: sporo życiowej mądrości, uskładanej przez lata z doświadczeń, emocji, radości i bolesnych doznań. Natomiast „Dbajmy o Orła” może się zdawać wierszem na granicy patosu, aczkolwiek wynika z zadumania pełnego niepokoju autora nad bezpieczną przyszłością kraju („Majstrowie, mistrz i cyborgi”), w którym przyszło mu żyć, pracować, spłodzić trzech synów, ku chwale...Jednocześnie zauważam wartość odważnego głosu w wielu wierszach, wprost „z trzewi”, wskazywanie palcem i nazywanie spraw i zdarzeń po imieniu.

Przed naszymi oczami błyskają w klamrach wierszy trzy noże: ostry wyborczy, ten, który ugodził prezydenta Gdańska i ten, którym ojciec własne dziecko...

Znalazłam także w książce pięć ziaren neologizmów: wdzieńwstawienie, wzięmiewstąpią, billboardopsychologia, lisiąg, samorozgrzeszenie.

Im bliżej końca poetyckiego rachunku sumienia, dziennika – rozliczenia z otaczającą poetę rzeczywistością i wieloma w niej wymiarami oraz z samym sobą (...*Kłębą się myśli / emocje piszą chwiejne scenariusze*), tym bardziej chce się, z pewnym zdumie-

niem, czytać ten tom jeszcze raz, a przynajmniej wracać do paru wierszy. Choćby po to, aby upewnić się co do pierwotnego ich odbioru i rozumienia w kontekście niezwykłego tytułu książki *A-B-R-A-C-A-D-A-B-R-A*.

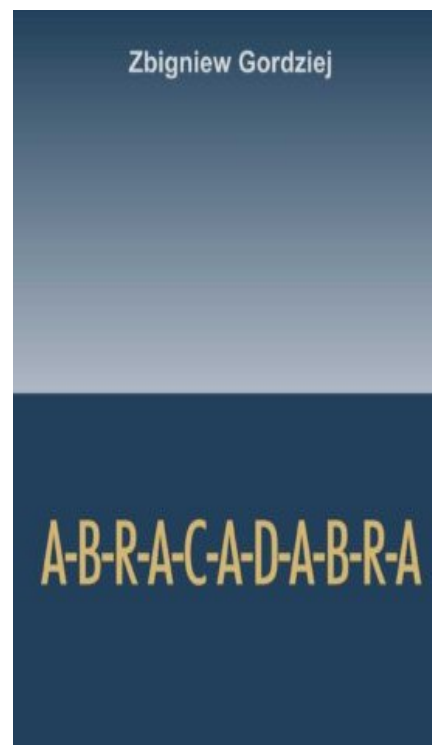
Przy innym założeniu autora co do zapisu tytułu i przesłania moja interpretacja mogłaby być całkowitym zaprzeczeniem. Dywizy – łączniki są znakiem wewnątrzwyrazowym. Myślę, że ich nierozdzielność z treścią tytułu tomu Zbigniewa Gordzieja jest tylko pozorna, czego dowód znalazłam na stronie 69. Przecież zło zostanie pokonane przez dobro, wschodzące słońce odpędzi bowiem ciemność swoim światłem.

I jeszcze parę słów o okładce. Elegancka, kolorystyczna powściągliwość. Wszystko umiejętnie dobrane ma wyznaczony wymiar i swoje miejsce. Obok granatowo-szarego koloru na okładce dominuje zgaszony błękit. Kojarzy mi się z powietrzem, tlenem niezbędnym do życia. Z przedświtem i zmierzchnianiem, początkiem i końcem. Umieraniem i poczęciem nowego życia, a więc *A-B-R-A-C-A-D-A-B-R-A*.

Niebanalna podróż poetycka po mało poetyckich garbach życia niesie wiele wartości pozytywnych, myśli o rzeczach codziennych, jakie w różnych okresach życia dotyczą nas wszystkich, przez poetę podanych do przemyślenia. I mimo wszystko ta podróż daje nadzieję pomyślniej innej podróży, w zupełnie odmiennie rejonach, także dla Zbigniewa Gordzieja.

Słowo-magiczne-zakęcie-amulet-działa.

Anna Andrych



Zbigniew Gordziej, *A-B-R-A-C-A-D-A-B-R-A*. Projekt okładki: Kazimierz Ratajczak. Zdjęcie okładki: Zbigniew Gordziej. Seria: Libra, nr 121, Poznań 2019, s. 80.

Edward Zyman

Krucha trwałość ludzkiego losu

Czytelnik „Dedykacji”, wiersza którym Krystyna Konecka zadebiutowała w 1972 roku na łamach katowickich „Poglądów”, nie mógł przewidzieć, że obcuje z tekstem zapowiadającym przyszłą mistrzynię sonetu. Zafascynowana twórczością filmową Kazimierza Kutza, autora *Soli ziemi czarnej*, arcydzielnej ballady, która trzy lata wcześniej weszła na ekrany kin, swój debiutancki utwór zadedykowała właśnie jemu. Był to niezwykle trafny wybór. Nie tylko dlatego, że w swoim wierszu manifestowała podobną miłość „ziemi tęsknoty mojej / i pieśni / z gołębic skrzydeł / w locie wydartej / na nieoddanie / z okrucich światła kutej / przez ludzi / sól ziemi czarnej”. Głównie dlatego, że wpisywała się, być może wówczas jeszcze nie do końca świadomie, w tak bliski autorowi *Piątej strony świata* kunszt artystycznego warsztatu, precyzji słowa i obrazu.

Miał on w niedalekiej przyszłości zaowocować dalszymi częściami śląskiej trylogii: *Perłą w koronie* (1971) i *Paciorkami jednego różańca* (1979) oraz *Śmiercią jak kromka chleba* (1994). W przypadku Koneckiej przyniósł on wysokiej próby tomy sonetów: *Sonety codzienne* (1978), *Pory mroku* (1984), *Ślady na jeziorach* (1986), *Powrót z Erolandu* (1986), *Sonety litewskie* (1988), *Znad Wilii* (1991), *Miejsca* (1994), *Cisza* (1997), *A. M.* (1988). Lata kolejne wydatnie wzbogaciły tę kolekcję. Wymienioną listę uzupełniły *Leśne misteria* (2001), *Ogrody Szekspira* (2003), *Biały kruk* (2007), *Isabelle, mon amour* (2010), *Listy dobiegniewskie* (2011), *Szklana kula* (2013), dwujęzyczny wybór *Koneksje / Connection* (2015), *Bard ze Stratfordu. Mapa sonetów / Bard from Stratford. Map of sonnets* (2016), *Ultima Thule. Głosy Islandii / Voices of Iceland* (2017), *Zwierciadło Marii Stuart / Mary Stuart's Mirror* (2020). Należy w tym miejscu podkreślić, że wszystkie angielskie tłumaczenia sonetów są autorstwa mieszkającej od wielu lat w Anglii córki poetki – Ewy Sherman.

O czym mówi ta imponująca bibliografia? Przede wszystkim informuje o wyjątkowej aktywności twórczej poetki, stale poszerzającym się obszarze jej artystycznej eksploracji i, nade wszystko, o nieustannym dialogu z szeroko rozumianą teraźniejszością. Miał absolutną rację Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, gdy w postłowie do *Ciszy* pisał: „Konecka, autorka regularnych sonetów, układająca je w cykle poddane klasycznym rygorom, jest, tak naprawdę, poetką dramatycznego światopoglądu”. Co prawda w jednym z sonetów wymienionego tomu autorka wyzna: „Na kakofonię wrzasku mam tylko milczenie”, ale nie przyjmujemy tych słów bezkrytycznie. To tylko rodzaj inteligentnej gry z czytelnikiem. W rzeczywistości w swych kunsztownie zbudowanych utworach, opisujących piękno bliskiego jej pejzażu, portretujących fascynujące ją postaci świata kultury i

polityki, tropiących meandry ludzkiego losu w bliższej i dalszej przeszłości Konecka z budzącą podziw konsekwencją podejmuje – i znajduje dla nich właściwy wyraz poetyckiej ekspresji – najważniejsze dylematy ludzkiej egzystencji.

Sonet nie dystansuje Koneckiej od świata, wręcz przeciwnie – pozwala jej dotrzeć do trzewi człowieczego losu. Mówi z niezwykłą siłą sugestii o ludzkich emocjach i marzeniach, bólu i nadziei, radości, zwątpieniu i rozpacz. Mówi zatem o miąższu życia, jego osobności i specyfice, niepowtarzalnej urodzie świata i wpisanym w naszą ludzką wędrówkę przeznaczeniu, od którego nie ma odwrotu.

Poetka ukazuje przejmująco ludzką samotność: „Wśród gęstniejących tłumów nieludzkie obszary”. Mówi o tym, że „Nic nie jest na wieczność”. Nie stroni od swych błędzeń i pomyłek: „Przeceniłam optymizm dwudziestego wieku”, choć wciąż ma nadzieję i wierzy, „że się niebo zamyśli nad nami”.

O ile wydane ostatnio *Zwierciadło Marii Stuart* urzeka – jak wszystkie poprzednie tomy – poetyckim kunsztem, rzadką umiejętnością odtwarzania światów byłych, stanowiących nasze kulturowe dziedzictwo, tworzeniem poetyckich projekcji postaci, które jawią się nam, mimo upływu czasu, w pełni swej egzystencjalnej wyrazistości, o tyle *Kruchość* dodaje do tego precyzję i wnikliwość oglądu dramatu dnia dzisiejszego. Najnowszy cykl przemawia każdym wersem, ba – słowem, każdym drgnieniem frazy, swoistym dla autorki *Ciszy* rytmem pełnym niepokoju i zarazem fascynacji fenomenem życia. Oto zostało ono zagrożone. Wystawione na próbę sił, których nie sposób do końca zdefiniować, lecz które w sposób przemożny są. Czy tylko w świecie wobec nas zewnętrznym? *Kruchość* ukazuje nietrwałe piękno egzystencji, jej niezmiernie bogactwo, lecz także, a może przede wszystkim – wpisany w nią tragizm – stygmat nietrwałości właśnie, kruchości, przemijania, incydentalności. Czytać ją można i należy nie tyle jako poetycką „opowieść” o zaniechanej z powodu niezależnych od nas czynników i okoliczności podróży, lecz o istocie człowieczego bytu. Owe piętnaście kunsztownie skomponowanych sonetów jest bowiem głębokim namysłem nad naszym ludzkim niepewnym losem, namysłem pełnym mądrości, empatii, wrażliwości zupełnie niewspółczesnej, ukazującej największy skarb człowieka, jakim jest dobroć i czułość dla innych, koegzystujących z nami istnień.

W tym sensie, choć w żadnym z tych pięknych wierszy nie pada słowo pandemia czy koronawirus, *Kruchość* jest tomem stanowiącym niezwyklej wagi poetycki dokument pierwszego dwudziestolecia XXI wieku. Każdy wers tej książeczki ów świat przenika na wylot, mówi o nas z wyjątkową precyzją,

nazywa wnikliwie czas, w którym żyjemy. Myślę, że jest to jedna z najważniejszych pozycji w bogatym dorobku Krystyny Koneckiej. Pozycja osobna, w swej kompozycji bezbłędna i w przesłaniu niezwykle istotna.

W tej dbałej o kanony formalne poezji, niewątpliwie klasycznej, zachwyca umiejętność dialogowania z szeroko rozumianą teraźniejszością. Sonet nie ogranicza tego dialogu, wręcz przeciwnie: jest trudnym skądinąd do wytłumaczenia dla tego dialogu dopingiem. Tak zresztą być powinno. Wszak dzieła mistrzów tego gatunku, do których poetka nawiązuje z elegancją i dyskrecją, także były w swoim przesłaniu uniwersalne. Pyta autorka w otwierającym cykl sonecie: „Gdzie skryć się? I czy można? I w czyich ramionach?”. *Kruchość* przynosi w tej mierze sugestywną i jedyną na tak sformułowane pytanie odpowiedź: w pięknych i mądrych wierszach. A szerzej: w sztuce! Ta tylko bowiem nadaje sens naszej ulotnej egzystencji. I tylko ona będzie jedynym śladem, który po nas zostanie.

Mississauga, w maju 2020

Krystyna Konecka, *Kruchość*. Fotografie: Krzysztof Korotkich. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2020.



Krystyna Konecka

Kruchość

(sonetti a corona)

Krzysztofowi Korotkichowi
autorowi fotografii

I

Właśnie mieliśmy jechać... Prześcigać
marzenia...
I tylko rytualnie usiąść przed podróżą,
i pomilczeć... Nikt wtedy nie przeczuł, że
różom
przyjdzie schnąć bez powitań, i w
osamotnieniu.

Jeszcze wczoraj medialny chaos informacji zdawał się egzotyczny – tu nikt nie nadązał za ofertami reklam. Gdy świat się pogrążył dla nas niedostrzegalnie w mroku hibernacji. Pakowaliśmy książki, prezenty, bilety, rodzinne fotografie z życzeniami szczęścia, pod powiekami drzewa przed wiosny

nadejściem.
Dawkę pewności siebie podstępna. Niestety...
Wiedzieliśmy: to innym burza burzy plany.
Gdy oto spadła na nas nieprzygotowanych.

III

Arytmia codzienności. I śmierć. I złamane
obce losy, a bliskie. Byłam niegdyś obok
gdzie Kim Mañ Jung opisał „...ulotny jak
obłok”
sen – symbol doczesności. Zafascynowana
konfucjańskim porządkiem społecznym
sfrunęłam
wprost do Korei. Na ten pomost kulturowy
od Chin do wysp Japonii. I skłoniłam głowę
przed wielo-tysiącletnim azjatyckim dziełem.
Więc gdy hiobowe wieści (któż tam wie o
Hiobie?!)
niosą obraz cierpienia z polowych szpitali,
myślę o tam poznanych. I czuwać z oddali
modląc się za ofiary tajemnej choroby. Co
łączy nas? Tam i tu nikną jak w płomieniach
odwieczne rytuały nagle bez znaczenia.

IX

Gdzie skryć się? I czy można? I w czyich
ramionach?
Gdzie kryli się? Czy mogli – plagami dotknięci
wcześniejsi... Przywołuję z ułomnej pamięci
renesansowe czasy z kart „Dekameronu”
Boccaccia. Błyskotliwe stu nowel sekwencje
w dekadę przez dziesiątkę młodych dam
i panów
mogły gdzieś na wsi zostać nie opowiedziane
gdyby nie Czarnej Śmierci władza nad
Florencją.
I jedna z tych refleksji, której można wierzyć
albo też nie, i która wątpliwości budzi –
że z tego co na ziemi dostępne dla ludzi
„każdy ma tyle ile sam sobie zabierze”.
Tym smutniej, i tym większym staje się
dramatem
kiedy znikają ludzie dzielący się światem.

Miłość

Są różne jubileusze. Jak ten najcenniejszy: zwieńczenie życia – miłości, życia –
poezji. Historia osobistych zdarzeń, także
duchowych, meandrów estetyki i ich zapi-
sów, zostaje przetworzona w poczucie do-
tknięcia przez uniwersum, prawdę o czło-
wieku, możliwą do wyrażenia tylko w wierszach.
Rafał Orlewski – poeta, przewodnik
duchowy wielu artystów, recenzent, redaktor
czasopisma literackiego „Pomosty”, członek
Związku Literatów Polskich, człowiek wielu
zasług, na 50-lecie ślubu poświęcił żonie –
Grażynie – książkę *Beatus qui amat* (szczę-
śliwy, kto kocha). Złożyły się na nią: tom
wierszy *Miłość* (nagroda główna w konkur-
sie „Głosu Nauczycielskiego” na książki wy-
dane w latach 1995-1996), *Regnum powraca-
jące* (I nagroda i „Złota Muszla Bałtyku” –
Szczecin 1997), *Przesłania* i *Po złote runo*

(wiersze okolicznościowe z różnych lat).

Powiedzieć: erotyki – to za mało. Są to
bowiem, wyrażone przez miłość, wiersze
egzystencjalne. Niewymierne, bo kto wie,
gdzie zaczyna się i kończy miłość, gdzie
zaczyna się i kończy życie. Rafał Orlewski jest
tak wytrawnym poetą, że nie stawia granic.
Bowiem: gdzie się zaczyna i kończy słowo
stworcze i twórcze? Proszę mi wybaczyć ten
patos, konieczny, gdy mówimy o Sztuce.

Już w pierwszym wierszu z tomu *Miłość*,
zatytułowanym *Przecucie*, uderza spiętrze-
nie, budowla skonstruowana z metafor,
obraz:

*Taka jest we mnie płowość
jak grzbiet nocy rano,
takie chciejstwo natury,
jakbym nagle stanął
dęba z galopu w szybę,
gdzie mnie oczekiwał
klejem deszczu przypięty
buk pośród igliwia.*

„Grzbiet” nocy, konia (w domyśle), „ja” li-
rycznego, co zastygło w galopie przed czy za
(?) szybą, do której „przypięty klejem desz-
czu” liść czy „buk”? „Chciejstwo natury”,
także własnej, wyraża się przez wielkość:
galop, buk. To nakładanie się, zderzenie,
spiętrzenie znaczeń – co mówi o życiu? To, że
ono wciąż siebie przekracza, by zaistnieć
przecuciem niewyraźnego.

Następna zwrotka:

*A od nowa ta płowość
ślepego szczeniaka,
znowu płynie przeze mnie
sosnowa Itaka,
we mnie słońce się pali
jak stara stodoła,
Wielki Wóz się chybotce
na koślawych kołach.*

– nakłada znaczenie na znaczenie. Metafory:
„ślepy szczeniak” i Odys (w domyśle, bo
zdąży ku swojej Itace) – „płoną”, tak jak i
Wszczęświat. Kiedy? Gdy pojawia się

*nieznana mi – żono,
dziewczynno, która znikniesz,
zanim się pojawisz.*

Itaka jest jak miraż na horyzoncie, ku
któremu „płonie” podmiot liryczny, by po-
przez zatracenie się „zbawił”. Zaiste, mi-
strzowski to wiersz.

Sonet *** *Lecz co to znaczy, że miłuję cie-
bie?..* (s. 12) określa MIŁOŚĆ jako „nie-
ludzkie ludzkie słowo”. Tak więc, wchodząc do swo-
jej rzeki przekraczamy siebie i to, co ludzkie, i
to, co boskie, naturę, Wszczęświat?

A przecież gdzieś po drodze było „moje –
twoje”, pomiędzy które, jak przez rzekę,
przerzucamy „kładkę”.

Żona staje się „sadem”, w którym „Na
brzegach liści / słyszysz twoje ciało”. Które się
nie kończy, bo „Jedynie słowo / w dal ciała
odpłynię”. Nieskończoność ta jest egzysten-
cjalna czy poetycka?

Wiersze urzekają precyzyjną i „otwie-
rającą się” metaforą, w której natura żyje.
Podmiot liryczny i natura stają się, dzieją, są

ruchome, nie statyczne. Miłość jest ciągiem
zdarzeń, wiersz staje się zapisem przygód
duchowych i nie tylko (jest poprzez to, co
ludzkie, przygodą świata w odcinkach). Taka
to moc stwórcza poezji.

Miłość to nieustający niedosyt. Spełnie-
nie – niespełnienie. Ból (*Zakole*). Niewyczer-
pane zasoby natury, krajobrazy (w tym gór i
morza), w które wkomponowany został
podmiot liryczny i bohaterka wierszy. I
refleksja:

Znad Bałtyku

*Zalśniły ruchome odmyty wodne.
Pośliznęło się światło morskie z fal na fale.*
Stefan Żeromski

*Jeszcze raz cię spotkałem na przybrzeżnej
skale,
kiedy słońce zejść miało w nadbałtyckie fale –
szczęśliwe w naiwności, że współtworzą dzieło
połączenia dnia z nocą.
Gdy więc się zaczęło
owo przeistoczenie, nie sądziłem w pysze,
że po piasku i falach twój cień się kołysze.*

*A on śmignął z nóg twoich, pieszczonej
promieniem
i wplaw rzucił się w morze, w wyjściu z moim
cieniem,
ale słońce dobiegło wcześniej wielkiej chwili,
kiedy zmrok dłoń potężną znienacka pochylił
i na głowę słoneczną – jak matka – ją złożył,
by w następnej sekundzie zepchnąć
w sen,
do morza.*

*Nasze cienie jednako przepadły w pomroce,
żebyś – tutaj spotkana – weszła nocnym
słońcem.*

Te wiersze są sensualne i mają horyzont
cielesny (jeden z wielu), delikatny, gdzie
„ciało jest okruczem słońca” (*Dopóki się nie
spełnią ciernie*). „Ciała złączone oddziela
zawsze początek i koniec: oddech pierwszy i
ostatni, z których wywiedliśmy się odrębnie i
które w odrębność wiodą”. Miłość więc scala
to, co różne, powołuje więzi międzyludzkie i
dzieli (ten utwór jako jedyny w tomiku jest
pisany prozą poetycką).

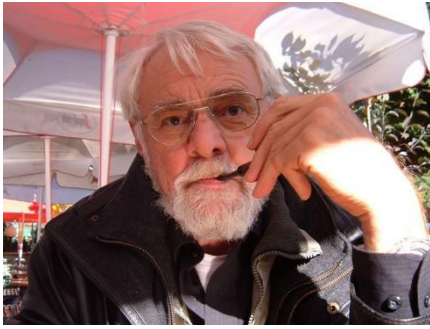
Urzeka klasycyzująca (ale też różna for-
malnie) budowla tej poezji. Jej cegiełki mie-
nią się, tworząc barwny, ożywiony monolit.
Sprzeczność? Uroda tych wierszy sprawia, że
za oczywistym kryje się nieoczywiste. Filozof-
iczny wymiar.

Zbiorek kończy rozdział *Po złote runo*.
Składają się nań wiersze pisane dla upamięt-
nienia różnych rocznic związków. Zamyka go
wiersz *Choć nazwa z kruszcu (50-lecie)*. Już
wiemy, że ta miłość to taki piękny, złoty
samorodek, wypłukany na wielu sitach życia.
Choć autor zarzeka się: „nie zamieniłbym cię
na złoto!” Zamiana jest niemożliwa, gdy złoto
stało się może 50 lat temu.

Irena Słomińska

Rafał Orlewski, *Beatus qui amat*. Lamar Serwis Sp. z
o.o., Piotrków Trybunalski 2020.

Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Ta nasza pamięć...

Aby nie zapomnieć – należy pamiętać. I jak ktoś powiedział, pamięć jest potęgą każdego narodu, może szczególnie naszego narodu. Mija kolejna rocznica września 1939 roku z tą naszą wiedzą, iż bez świadomości naszej przeszłości, nie ma szans na perspektywę przyszłości, a bez niej nie ma i nie będzie możliwości pełnowartościowego życia dzisiaj, bowiem przyszłość młodych, pokoleń można zapewnić jedynie bazując na obowiązku pamięci oraz szacunku dla prawd historycznych, także na ich sile. Oto w Górnej Austrii był wtedy jeden z obozów koncentracyjnych umiejscowiony w Gusen. Mała, urokliwa miejscina. Język jakim posługują się mieszkańcy to tzw. górnoaustriacki dialekt, lekko śpiewny, bez tego typowego szwargotu. I ta urokliwa miejscina stała się wówczas miejscem kaźni tysięcy więźniów, którym odebrano przy okazji uczucie zachwyty tym miejscem. Gmina St. Georgen razem z miasteczkiem Gusen, stały się piekłem. Stąd 15 km leży Linz, zaś o parę kilometrów od Gusen był następny obóz śmierci – Mauthausen. Obliczono, że w obu tych obozach unicestwiono w bestialski sposób około 37 tysięcy ludzi.

W Gusen po wojnie powstało coś w rodzaju muzeum, któremu daleko do tej nazwy. Po wojnie do obozowych baraków wprowadzali się ludzie szukający tu pracy, upiększając ich wnętrza i przystosowując do własnych potrzeb, zakładając przydomowe ogródki. Więźniowie przymuszani byli do pracy w tułajnych kamieniołomach i m.in. w podziemiach tajnych fabryk przy produkcji części do samolotów, już wówczas odrzutowych. Mieszkańcom jak i przyjeźdnym nie była potrzebna wiedza o tym, co tu się działo. Wojna się skończyła i należało myśleć o przyszłości. Zatem mało pozostało materialnych, pamiątek po tamtym czasie. W budynku, gdzie zlokalizowany był burdel dla SS-manów, zagospodarowano jeden pokój z jednym łóżkiem. Mało jest pisemnych informacji dla zwiędziających o tym miejscu kaźni, jest za to nagranie, którego swego czasu dokonał Christoph Mauer i kiedy zakłada się słuchawki, słyszymy różne relacje tak świadków z Gusen, jak i kilku ocalałych więźniów mówiących słabo po

angielsku lub niemiecku. Ciekawe są głosy miejscowych, kiedy założymy słuchawki. Cytuję za Wojciechem Rogalskim, Polakiem mieszkającym we Francji. Oto kilka jego relacji:

Jako dziecko dowiedziałem się pewnego dnia, że nie wolno mi się kąpać w stawie, w którym dotychczas się kąpałem dlatego, że wcześniej wielu Żydów i innych więźniów zostało w tym stawie utopionych. A potem zabroniono nam bawić się na łodzie z tego powodu. Ze względu na pietyzm – jak nam powiedziano. Nie wiem, czy to było w porządku, czy to jest dzisiaj ważne. A teraz mówi się, że na ulicach, przy których my mieszkamy, zostało zamordowanych wielu ludzi.

I głos innej kobiety:

To jest przecież tylko historia! Tak to było, wiele ludzi poniosło śmierć, tak to przecież jest na wojnie. Czy ludzie, którzy tu teraz mieszkają powinni te tereny opuścić?

Inny męski głos opowiada o jego miłym dzieciństwie po wojnie i o tym, że on nigdy nie chciał opuścić tego pięknego miejsca, rodzinnego miasteczka:

Cóż, to jest przecież po prostu tylko historia... w urokliwym miejscu.

Zapewne byłym, ocalałym więźniom miejsce ich męczeństwa zapiera dech. Wszystko jest tu inne. Te przydomowe ogródki, świeżo wyasfaltowane ulice, piękna dziś prywatna willa z pięknym ogrodem, kiedyś „Jourhaus”, która była budynkiem wejściowym obozu, gdzie zaczynała się gehenna wejścia do piekła. Cóż, mieszkańcy tego miejsca żyją, przez lata w próbie zapomnienia, może nawet wyparcia się tego, co się tu u nich wydarzyło. Kopiąc te swoje przydomowe ogródki, pewnie cały czas wynajdują ludzkie szczątki i tak jak swojego padłego pieska, zakopują trochę głębiej...

Kazimierz Iwosse



Janusz Orlikowski

Bo

bo jestem tylko tym w którym jestem i opieram się na tym co czuję i widzę jak ptak który nie wie co to przyszłość lub przeszłość ani noc dzień to nie jest mijanie

pierwsze z nich to sen drugie trzepot skrzydeł

i nie ma w tym nic nadzwyczajnego tak jak on nie spoglądam na zegar kalendarz dziobną myśląc że to strawa

odfruwam chętnie na pierwszy chodnik

lub do gniazda zanurzając się w fotel to dobra przystań na to co mokre za oknem

jestem tylko tym w którym jestem

a gdy zbudzi mnie habitus chociaż nic nie wiem o tym fotel zamienię na słońce

Opowieść o dniu

każdy dzień potrafi opowiadać kolejne teraz gdy nikt mu w tym nie przeszkadza drzewa rosną tak jak rosną ptaki szybują to niżej to wyżej morza i jeziora ciche

bez sprzeciwu zależne od wiatrów spiętrzone wiedzą że takie mają być nie widzą w tym nic nadzwyczajnego dziwi to nasz nos który zaczyna kręcić

a gdy pada za zimno lub za gorąco wykręca się na drugą stronę jakby był mądrzejszy od ptaków wiatrów i drzew

wtrąca się wtedy czas i ogarnia nas przeszłość – przyszłość dwa zwodzone mosty i zawodny stan umysłu

a wspomnienia są zawsze zgodne z ciągiem myśli

od dobrych do złych nas zwodzą i jej młodszy brat – przyszłość zachowuje się podobnie

zapominamy że każdy dzień potrafi opowiadać kolejne teraz a gdy nic mu w tym nie przeszkadza jest możliwie dobry



Zygmunt Dekiert

Umysł zniewolony

Pogrzeb Wolnej Myśli

Kondukt żałobny
Kroczą prorocy Słowa
Kolorowe koszule
Wytarte dzinsy
Spójrz!

Jeden w garniturze
Koszula biała
Czarny krawat

Nie było go na stypie
Nie wychylał toastów
za wolność...

Kozetka (57)



Lato z dziewczynami

Moje poglądy zależą od pogody.
Charles-Maurice de Talleyrand

Joanna Friedrich

Każde moje lato miało w sobie coś. Już samo to, że jest latem, robi z niego pokerowego fulla.

A wszystko to przychodzi z taką oczywistą łatwością. Jakbyśmy nie pracowali nad swoimi krągłościami cały rok i w ogóle się niczym nigdy nie martwili.

Kiedy położyć ciało na piasku nad wodą i wystawić na słońce i wiatr, dzieje się z nim wtedy to samo, co z opuszczoną muszlą albo kawałkiem szkła.

Masaż żywiołów.

Człowiek łagodnieje; wychodzi jeszcze okrąglejszy i przewietrzony, czasem nawet trochę podsmażony.

Jedne myśli dopiero uleciały, inne nadal mają problem z dotarciem.

Mój dobry przyjaciel mówi, że kiedy wracasz po wakacjach i nie pamiętasz kodu do domowego alarmu, to były to dobre wakacje.

Mam szczęście do kobiet, wiele z nich poznałam właśnie latem.

Przy ich bujnych osobowościach, nic dziwnego, że faceci przypominają jedynie zmieniające się w tle pory roku.

Niektóre ciągle się jeszcze wahają, czy żyć w parze, czy postawić na przygodę singielstwa.

Karolina, mama dwóch ślicznych elfów, która tańczyła w moim śnie jak Carmen, pisze do mnie, że moje pisanie jest magiczne. Dla mnie magiczne jest to, że pisze to do mnie „osoba ze snu”.

O tej porze roku najchętniej nie opusz-

czałabym świata magicznego realizmu Gabriela Marqueza.

Czytam na zmianę Simone de Beauvoir i Virginię Woolf. Rebeliantki. Plotkuję z dziewczynami i gotuję kompoty. Jeszcze ich nie zaprawiam ale to i tak ogromny krok na mojej mapie domatorstwa.

W gotowaniu kompotów najfajniejsze jest to, że podczas obróbki mogą wyjadać najkwaśniejsze owoce, co przypomina mi dzieciństwo – wiedziałam na pamięć, co i kiedy w ogrodach całej rodziny dojrzeje i na które drzewo wejść w pierwszej kolejności. Proszę nie ścinać fajnych starych drzew, idealnych do wspinania się, tylko dlatego, że rodzaj mniejsze owoce lub robią to coraz rzadziej.

*Słowa Karoliny uświadomiły mi, że fajnie w środku zimy będzie przeczytać coś ze środka lata.

Piszcie.



Dziś jeszcze jedna pani Karolina: kolekcja resort 2021, dom mody Carolina Herrera.

Wiersze „donikąd”

Właściwie każdemu artyście towarzyszy głębokie odczucie bezpowrotnego upływu rzeczywistości, ale i nieodparta chęć jej zatrzymania, a nawet odwrócenie tego procesu przemijania. Tworzenie zawsze jest przejawem oporu wobec wariabilistyczności świata, choć wiadomo, że nie da się tego uczyć, ale próbować zawsze można, a wręcz należy. Z taką sytuacją spotykamy się w tomiku **Ryszarda Mierzejewskiego** pt. „Droga donikąd”, w którym autor z uporem nawet maniakalnym stara się dokonać tej operacji

stabilizacji (unieruchomienia) świata wokół siebie.

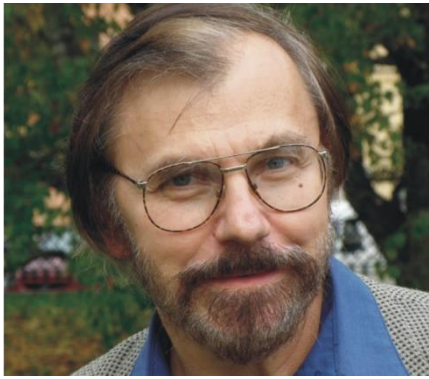
Wydaje się, że ten upór poety wynika z głębokiego pragnienia dotarcia do krainy „mlekiem i miodem płynącej”, ale i równoczesna świadomość, iż jest to niemożliwe pozwala mu również twierdzić, że pomimo wszystko próby podejmować trzeba. Cały wysiłek autora skupia się na wielu grach językowych, które mogłyby imitować, że te zabiegi mają sens, a przynajmniej mogą być źródłem znaczeń słów nowego typu. Wiersze te służą mu również jako narzędzia wspinaczki „pod górę”, próby jednoczenia się z Bogiem jako światłem na tej drodze. Jego modlitwy stanowią coś na kształt spowiedzi z życia odraczające możliwość owego spotkania. Równie bliska jest mu pojemna metafora „skorupy żółwia”, która chroni go przed niepożądanymi, a nawet „krwawymi” rezultatami miłości do kobiety. Los tak wędrującego po świecie poety zapada się w „głębokiej studni niepamięci i samotności”, którą odczucia pogłębiają, zaś miłość bliźniego kojarzy mu się z procesami „popielenia się poety”. Ta wędrówka życiowa, poczucie samotności, ale i nadziei widzianej w „pięknie róży”, która jednak mami swymi ulotnymi walorami, często prowadzi do przekonań, że życie to tak naprawdę droga, na której niesie się „własny krzyż” osobistego istnienia.

Przychodzące marzenia przywracają poczucie ciepła domowego, obecności rodziców, jednak każdy sens jubileuszu wyraża taki zdanie: „Sto lat samotności na imieniny”. To doświadczenie nie zwalnia jednak autora od „siwych wspomnień” rodziców, uczestnictwa w przemijającym świecie, których celem jest poszukiwanie „ręki bożej”. Stoi za tym bezkompromisowa niezgoda na przemijalność i ułomność życia, niezgoda ta motywuje do walki o każdy „kawałek chwili”, nawet wtedy, gdy córka na stałe wyjeżdża za granicę. Wtedy pewne pocieszenie daje symbol ptaka jako antidotum na tę logię życia w stawaniu się i rozpadzie. Wtedy jedynie wspomnienia rodziców, bliskich, świata przyrody pozwalają jakoś żyć i nieustannie jak mantrę przeżywać kołowrót kolejnych dni. A kiedy pojawi się świadomość końca, „życia przed metą”, należy zgodzić się z przekonaniem, że nasz los to los maratończyka. Na starość bowiem nawet żywienie miłości boli, bo ból staje się coraz bardziej wszechobecny i z tym należy się godzić, ale i przewycięzać go. Wtedy najważniejszym centrum istnienia powinna znaleźć się ukochana kobieta „na dobre i złe”. I tak poeta powtarza te swoje narracje o życiu, młodości, dojrzałości i starości, osuwając się ze śmiercią, łowiąc sens istnienia w każdej możliwej chwili. To, co w tej sytuacji twórczej staje się dla niego ważne, to fakt, iż nie poszukuje jakiegos „dna istnienia”, a kiedy się zbliża do niego potrafi z powodzeniem go obejść i trwać dalej, nie rezygnując z marzeń.

prof. Ignacy S. Fiut

Ryszard Mierzejewski, „Droga donikąd”, Pieszyce 2020, s. 136.

Listy do Pani A. (146)



Przeciętność i zabobon

Droga Pani!

Obecne wydarzenia nie napawają nas radością. Często staramy się oddalić od siebie wszystko, co dzieje się na świecie. Ludzie szaleją i panikują z powodu koronawirusa, inni znów bezczelnie lekceważą pandemię, nie noszą maseczek, choć dla niektórych zakryta twarz to błogosławieństwo. Wiele jest niebezpieczeństw. Kto z mieszkańców Bejrutu przypuszczał, że z powodu karygodnych zaniedbań nastąpi zagłada połowy miasta? Nie wiem, czy za godzinę nie wydarzy się coś, co mnie i innych zmiecie z powierzchni Ziemi. A może i całą Ziemię? Wtedy byłoby mniej żal...

Andrzej Krzysztof Torbus w „Obrachunkach osobistych” napisał: *nie ma powrotu do Tylicza / bogowie nam umarli wszyscy / gór ci-życ intruz czas zakrzywał / miłości deszcz rzęsi-ży zniszczył*. W tych czterech wersach Andrzej powiedział wiele. Pani jest w tej sytuacji, że świat znany od dziecka jeszcze się tak bardzo nie zmienił. Powolny proces zmian jeszcze jest niedostrzegalny niczym ruch wskazówek zegara; dopiero po pewnym czasie zauważamy, że są już one w innym miejscu. I nie myśli Pani, że coś już bezpowrotnie się kończy. Ale i my, starsi, choć wiemy, że nie ma powrotu, to jednak mamy nadzieję, że ów Tylicz znów stanie się naszą – jak dawniej – bezpieczną krainą.

Poetów z grupy Tykicz: Andrzeja Krzysztofa Torbusa, Adama Ziemanina, Andrzeja Warzechę poznałem na uroczystościach rozdania nagród Łódzkiej Wiosny Poetów. To były czasy! Konkursowe laury dopingowały nas do pracy, a jako zupełnie młodzi ludzie nosiliśmy buławy, może nie w tornistrach, ale w zeszytach z wierszami. Po prostu byliśmy młodzi. W naszych oczach siłą rzeczy inaczej wyglądał świat. Może dziś jest podobny, tylko nasze stare, przechodzone oczęta wielu rzeczy już nie dostrzegają? Z niejaką zazdrością muszę stwierdzić, że Pani to jeszcze nie dotyczy.

Cóż nam pozostaje? Ucieczka w świat poezji? Nie jest to jednak świat ułudy, bo w

poezji zawiera się pewne doświadczenie autorskie; doświadczenie świata jak najbardziej realnego; dotknięcie uniwersalnych problemów, obecnych w kulturze ludzkiej od zarania. Świetnym przykładem niechaj tu będzie poemat „Pasja” Urszuli Benki. Utwór niezwykle ciekawy, wielowarstwowy, uniwersalny.

Kapitałnym zabiegiem jest wprowadzenie do utworu części „Stacja IV Według Tłuszcz”. Owa „tłuszcz” odzwierciedla przekrój społeczny znany każdej, także i współczesnej, epoce. Ta część poematu rozpisana jest na głosy, a występują tu charakterystyczne, choć anonimowe, postacie z tłumu: Baba, Grubas, Przechodzień, Handlarka, Kupiec, Pracznia, Faryzeusz, Młokos. W tym „tłumie” każdy z nas może się odnaleźć, rozpoznać, bo każdy na swój sposób jest świadkiem i uczestnikiem wielopomnych wydarzeń, wyjętych znowu z granic czasowych; wydarzeń dziejących się stale tu i teraz w wymiarach psychologicznych. Podkreśla to wiarygodność tej poezji.

Mówi poetka – oczywiście nie wprost – o względności poznania. Zobaczmy: tłum stoi, plotkuje, relacjonuje wydarzenia. Okazuje się jednak, że patrząc mniej więcej na to samo, każdy widzi co innego, inaczej rzeczywistość interpretuje, inne sprawy postrzega jako rzeczy ważne.

Stacja IV dobitnie podkreśla uniwersalizm całego utworu. Prawdy metafizyczne znowu wymykają się skutecznie jakimkolwiek dogmatom. To „wymykanie się” jest z jednej strony świadectwem ogólnej ułomności naszego poznania, z drugiej stanowi motor wszelkiej twórczości, co doskonale widać podczas lektury „Pasji Jezusa z Nazaretu”.

Język poezji Urszuli Benki jest bardzo ekspresyjny. Odkrywa nie tylko nowe sensy w uniwersalnej historii, ale też tworzy zaskakujące obrazy. Posługuje się celną metaforyką. Powstaje nowa poetycka relacja, jakże inna od znanych nam konwencjonalnych przedstawień. Tutaj „Pasja” przestała być tylko chwalebna (czy „pięknie” napisana) historią, ale została wpleciona w najgłębszą realność ludzkiego życia. To już nie jednostkowe wydarzenie, nie tylko opowieść, ale wielkie i nieprzerwane „dzianie się” w całej rzeczywistości. Jest to utwór trudny, nowatorski zarówno w warstwie językowej, jak i przesłań.

Skoro jesteśmy przy „Stacji IV Według Tłuszcz”, warto dodać, że ta część poematu jest bardzo sceniczna. W dialogu pomiędzy postaciami narasta dramaturgia. Jesteśmy tutaj świadkami zderzenia się – rozmaitych i na różnych poziomach – mentalności, ludzkich pojęć, wrażliwości, charakterów. To po prostu świetny zarys scenariusza. Polecam Pani ten tom.

Namawiam też Panią do lektury „Nie ma wiary bez pytań”. Jest to wywiad-rzeka z ks. Andrzejem Pęcherzewskim przeprowadzony przez Damiana Jankowskiego z „Więzi”, który wcześniej wydał rozmowę z Wacławem Oszejką („Innego cudu nie będzie”).

Pęcherzewski jest doświadczonym psychoterapeutą. Jego sądy o człowieku, o religii odbiegają od „dewocyjnej” sztamki. Po lekturze człowiek może spojrzeć inaczej na samego siebie, na nowy sposób, bez lęku czy

panicznego strachu przed jakimiś „karami” czy „potępieniami”. Poszerza się swój własny obraz, można jaśniej spojrzeć na własne życie. Nie ma tam jakiegoś kościelnego sosu, dlatego słowa Pęcherzewskiego mogą z powodzeniem trafiać do wszystkich, bez względu na ich światopogląd. To bardzo uniwersalna lektura.

Należałoby życzyć sobie, aby więcej było takich duchownych. Tymczasem pogłowię przeciętnych katabasjatek to niedojrzali emocjonalnie faceci, albo zwykli cynicy. Flaki się we mnie przewracają, kiedy czytam na katolickich stronach, że nieścistość w wypowiedzianiu oficjalnej formuły chrzcielnej unieważnia cały sakrament. Jeśli ktoś zamiast „ja ciebie chrzczę” powie „my ciebie chrzczymy” (czyli wspólnie z drugim rodzicem chrzestnym), to cała imprezka bierze w łeb. To magiczne, dziecinne myślenie zaprzeczające jakiegokolwiek racjonalnej duchowości! Wymyślili też listę piosenek, który nie wolno śpiewać na ślubach kościelnych. To wszystko zapewne z lęku, że władza wymyka się z rąk. Chcą wprowadzić zabobon i przeciętność, a zamiastowej racjonalnej duchowości najzwyklejsze gusta. Jak wiem, Pani też jest przeciwna podobnym manipulacjom, a raczej idiotyzmowi.

Jak Pani spędza czas? Ja siedzę w kompletnej izolacji, co teraz w lecie staje się bardzo uciążliwe. Ale może lepiej przetrwać uciążliwość i powrócić do normalnego życia niż wymeldować się ze świata in secula seculorum. Siedzimy więc z Anią grzecznie, czytamy, trochę piszę. Ale też mam pewną rekompensatę. Oto kilka dni temu ukazał się nowy tom moich wierszy. Książka przepięknie wydana, ozdobiona świetnymi kolażami Ireny Nyczaj. Ale tak to już jest: zachwycasz się estetyką, ale masz wątpliwości, co do samych wierszy. Czy układ odpowiedni, czy jest to coś innego w porównaniu z poprzednimi zbiorami; czy w ogóle warto pisać i wydawać? Ania mnie podtrzymuje na duchu, ale ja dalej swoje. Chyba większość autorów tak ma. Są też twórcy permanentnie zachwyceni sobą, ale to już inny gatunek.

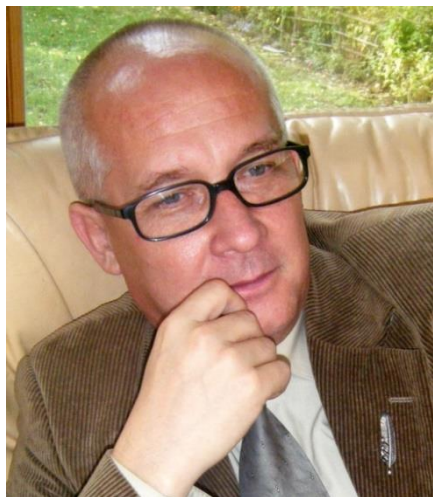
Przysłał mi ostatnio swój tom „Korożja” Andrzej Walter. Świetne wiersze mówiące o rozpadającym się („korodującym”) świecie, tak w sensie materialnym jak i moralnym. Trudno się z tym nie zgodzić. Utwory Waltera stawiają ostre i bezkompromisowe diagnozy naszej rzeczywistości. Skądinąd poeta ma rację, możemy ją przyjąć lub z nią polemizować, co nie zmienia faktu, że Andrzej Walter jest znakomitym i coraz lepszym poetą.

Kiedy piszę ten list, na dworze jest upał niemożliwy. Ale już wolę to, niż nadmierny mróz. Tak więc życzę Pani temperatur zniksowanych –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Witkacy

17 września mija kolejna rocznica tragicznej śmierci Stanisława Ignacego Witkiewicza – Witkacego. Choć minęło już tyle lat dyskusje i spory wokół jego życia i twórczości nie ustają. Ktoś kiedyś powiedział, że Witkacy sam to wszystko zaplanował...

Andrzej Dębowski

Był twórcą literatury, malarzem, filozofem, teoretykiem sztuki. Urodził się w Warszawie 24 lutego 1885 roku, życie zakończył śmiercią samobójczą 18 września 1939 roku w Jeziorach na Podlasiu. To była dziwna śmierć, bo w zasadzie do dzisiaj nie wiadomo jak ona nastąpiła, choć teorii na ten temat jest wiele. Według jednej miał się zastrzelić, według innej otruci, a niedawno pojawiła się i taka, że Witkacy wcale nie popełnił samobójstwa, że przeżył wojnę, bo podobno pojawiły się na to dowody... Choć to tylko teorie, to trzeba przyznać, że fascynujące i napędzające koniunkturę w promocji jego osoby i twórczości...

Rodzice Witkacego – wybitny krytyk literacki, pisarz i malarz Stanisław Witkiewicz oraz nauczycielka muzyki Maria z Pietrzkiwiczów, zadbali o rozwój intelektualny i artystyczny syna. Trzeba wiedzieć, że jego rodzicami chrzestnymi byli słynna aktorka Helena Modrzejewska i skrzypek, bajarz, legenda Zakopanego – góral Sabała. Dzieciństwo i młodość spędził Witkacy w Zakopanem zdobywając wiedzę pod kierunkiem ojca i jego wybitnych przyjaciół. Prywatna i dosyć swobodna edukacja przyniosła jednak niespodziewane efekty: już jako ośmioletni chłopiec Stanisław Ignacy pisywał dramaty pozostając pod wpływem dzieł Szekspira. Jego dojrzałe i trudne lektury stały się źródłem inspiracji literackich oraz poważnych refleksji filozoficznych, które także potwierdzały powszechną opinię o niezwykłym talencie cudownego dziecka. Interesował się bardzo również naukami przyrodniczymi, matematyką oraz muzyką.

Osobowość Witkacego kształtowało środowisko wybitnych ludzi tego czasu, którzy bywali w rodzinnym domu pisarza, między innymi: Stefan

Żeromski, Henryk Sienkiewicz. Po zdaniu matury Stanisław Ignacy wyjechał do Krakowa, by studiować malarstwo u Jana Stanisławskiego i Józefa Mehoffera. Przyzwyczajony jednak do samodzielności i zupełnej swobody nie ukończył studiów. Od 1901 roku wiele podróżował. Gauguin i Picasso, których malarstwo wtedy poznał, ukształtowali jego upodobania i poglądy na sztukę.

Twórczością literacką Witkacy parął się od dzieciństwa, zaś pierwsze dojrzałe dzieło, powieść „622 upadki Bunga, czyli demoniczna kobieta”, ukończył w 1911 roku (wydano ją dopiero w 1972 roku). Ma ona charakter autobiograficzny i jest traktowana jako klucz do zrozumienia twórczości i filozofii autora.

W 1914 roku jako fotograf i rysownik podjął wyprawę naukową do Australii i Oceanii towarzysząc przyjacielowi, wybitnemu etnologowi Bronisławowi Malinowskiemu. Przerwał ją jednak na wieść o wybuchu wojny i wyjechał do Petersburga. Witkacy (w przeciwieństwie do swojego ojca. zwolennika Józefa Piłsudskiego) opowiadał się za współpracą z Rosją, upatrując w takim powiązaniu szansę na niepodległość. Walczył na froncie jako podporucznik (pawłowski pułk gwardii), był ranny. Wpływ na ukształtowanie się jego poglądów wywarł dekadentyzm i nihilizm inteligencji rosyjskiej oraz rewolucja październikowa. Z tych doświadczeń wynika później katastroficzna historiozofia S. I. Witkiewicza.

Po powrocie do Polski (1918) wiele pisze, publikuje, współpracuje z teatrem, która owocuje dramatem „Maciej Korbowia i Bellatrix”. W 1919 roku ukazuje się dzieło filozoficzne w szczególności sposób uwzględniające poglądy estetyczne: „Nowe formy w malarstwie i wynikające stąd nieporozumienia”. W nim zawiera słynną teorię Czystej Formy. Współpracuje z grupą malarzy „Formiści” oraz mieszczykiem „Zdrój” (dramat „Pragmatyści”). Związki Witkacego z teatrem zaczynają się w 1921 roku premierą „Tumora Mózgowicza” na scenie Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Według danych opublikowanych przez Lecha Sokoła dramatyczny dorobek Witkiewicza liczył 39 utworów, jednak zachowało się spośród nich 21 tekstów. Artykuły z lat 1919-1921 ukazały się w 1922 roku w zbiorze zatytułowanym „Szkice estetyczne”, zaś w 1923 roku autor opublikował książkę „Teatr” zawierającą artykuły polemiczne dotyczące Czystej Formy w teatrze. W wielkiej dyskusji wokół teorii Witkacego udział wzięli wybitni myśliciele i krytycy okresu dwudziestolecia międzywojennego angażując się z nim w żarte spory. Podobne zainteresowanie i różnicę stanowisk budziły kolejne premiery jego sztuk teatralnych.

Oprócz wymienionych wcześniej sztuk warto wspomnieć jeszcze kilka: „W małym dworku” (pierwsze wystawienie w 1923 roku), „Metafizyka dwugłowego cielecia” (pierwsze wystawienie w 1928 roku), „Kurka wodna” (1922), „Mątwą” (druk w 1923, pierwsze wystawienie w 1933 roku), „Jan Maciej Karol Wścieklica” (pierwsze wystawienie w 1925 roku). Wiele utworów, wśród nich słynny dramat „Szewcy” (pierwsze wystawienie w 1957 roku), inscenizowano dopiero po wojnie.

Rozdrażnienie wywołane lekceważeniem myśli Stanisława Ignacego Witkiewicza nie osłabiło jego sił twórczych. W 1927 roku ukazuje się powieść „Pożeganie jesieni”, zaś w 1930 słynne dzieło „Nienasyceń” (napisane w 1927 roku). Interesował się również działaniem środków odurzających i dewiacjami życia społecznego („Niemyte dusze”) – łączne wydanie pt. „Narkotyki”. W 1935 roku ukazało się dzieło filozoficzne „Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia”.

Witkacy znany jest przede wszystkim jako autor niezwykłych, zaskakujących form utworów scenicznych i dzieł malarskich. Był wybitnym człowiekiem ukształtowanym w epoce modernizmu, piszącym głównie w okresie międzywojennym. W powszechnej opinii współczesnych krytyków przerosł obydwie epoki miarą swojego talentu i dopiero po dziesiątkach lat interpretacje jego dzieł świadczą o tym, że jest twórcą rozumianym. Dramaty wyrażające niepokój i poglądy estetyczne tego autora nie poddają się łatwemu odbiorowi, wymagają zapoznania się z refleksjami Witkacego o sztuce, a także z jego biografią znaczącą piętnem nieszczęść. Dostrzegając zagrożenia dla kultury i indywidualizm artysty, przeżywając rozczarowanie rozwojem sytuacji w Europie S.I. Witkiewicz, dzień po wkroczeniu do Polski wojsk sowieckich, popełnił samobójstwo.

Biografia Witkacego obfitowała w wiele zdarzeń. Legenda szalonego literata na tyle utrwaliła się w świadomości społecznej, że poprzez nią odczytywano artystyczne dokonania twórcy.

Andrzej Z. Makowiecki, powołując się na Kazimierza Wykę i Małgorzatę Szpakowską, przedstawił różne oblicza legendy Witkacego. Najbardziej żywotna okazała się legenda wyrosła z klimatu przybyszewszczyzny, podkreślająca skandale, nocne eskapady, zgorzienie, skłonność do używek i erotycznych ekstrawagancji. Witkacy, nazywany „wariatem z Krupówek”, jawił się w plotkach jako pijak, narkoman, erotoman, który cechował się niezwykłą żywotnością biologiczną, ale i wręcz nienaturalną sprawnością intelektualną. Uważano, że niezrozumiane utwory literackie są konsekwencją zgubnego stylu życia. Atmosfera skandalu i zgorzienia wzmagala jednak zainteresowanie osobą i twórczością tego nietuzinkowego ekscentryka.

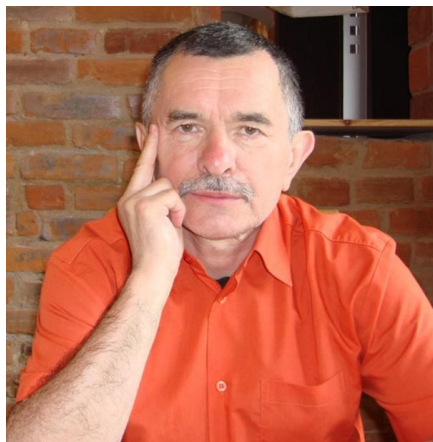
Mniejszą rolę w kształtowaniu wyobrażeń o Witkacym odegrała legenda filozoficzna. Nasycenie różnego typu wypowiedzi literackich refleksjami natury filozoficznej było w powszechnym mniemaniu pomyłką, brakiem warsztatu, nieumiejętnym uprawianiem Literatury. Takie pomieszanie literatury i filozofii nastęrczało spore trudności interpretacyjne. Nie w pełni rozumiano i chciano przyjąć teorii Czystej Formy, oczekiwano utworów z fabułą, mówiących o codzienności. „Wariat z Krupówek” nie ukrywał swojego narastającego pesymizmu, poczucia nienasyceń, obawy o zniszczenie indywidualności i niepewtarzalności każdego człowieka, przekonania o nieuchronności, a zarazem groźbie rewolucji napędzającej bieg dziejów. Zakorzone w refleksji o religii i metafizyce poczucie nadchodzącej zagłady uformowało katastroficzny sposób myślenia autora „Szewców”.

Legenda Witkacego – twórcy oryginalnego, niezwykłego i szalonego, pijaka, narkomana i samobójcy – uległa weryfikacji po latach, kiedy powstały dojrzałe interpretacje jego wypowiedzi. Daleko od tej negatywnej legendy odbiegają wspomnienia żony, Jadwigi Witkiewiczowej, która z wielką tolerancją przyjęła zainteresowanie męża inną kobietą, eksperymenty ze środkami odurzającymi, których działanie chciał dokładnie opisać, by chronić przed nimi innych. W jej wypowiedzi można przeczytać o imponującej erudycji i pracowitości Witkacego, jego wielkim umiłowaniu i szacunku do przyrody, znajomości języków obcych, zainteresowaniu wieloma dziedzinami nauki i literaturą (W. Szekspir, J. Słowacki, B. Prus, T. Miciński, J. Conrad, J. Kaden-Bandrowski, K.I. Gałczyński czy B. Schulz), trwałości i bezkompromisowości poglądów. Choć Witkacy był kontrowersyjną postacią życia literackiego, zasłużył sobie niewątpliwie na opinię artysty oryginalnego, przemawiającego do odbiorcy nowym językiem – poprzez formę.

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (54)

(fragmenty)



Takie czasy

Zastanawiam się, czy kibicować tak zwanej polskiej Wiśle Kraków, czy tzw. niemieckiej Borussia Dortmund. W polskiej Wiśle bywają mecze, gdy gra raptem dwu Polaków, a reszta to cudzoziemcy. W niemieckiej Borussia gra trzech Polaków i to nadzwyczaj sympatycznych oraz – co ważniejsze – bramkostrzelnych.

Z Aśką i wnukami u Piotra, przyjaciela, który wybudował się w małej wsi koło Wieliczki. Bawi się w Robinsona. Jego Piętaszkiem jest malarka krakowska Ewa. Osoba w odróżnieniu od mądrego, ale szorstkiego i jednak „niemieckiego” Piotra, po słowiańsku serdeczna, gościnna i uśmiechnięta.

Szczerze go podziwiam, że taki twórczy, zaradny, przedsiębiorczy i praktyczny, a poza tym odważny, bo porwał się w wieku 70 lat na kolejną zmianę otoczenia. Jednak po paru godzinach oglądania domu, ogrodu, słuchania opowieści składającej się z różnych szczegółów dotyczących kolejnych etapów „robinsonady” Piotra – zaczynam czuć się znużony, poziewuję, jakoś nie umiem wykrzesać z siebie należnego entuzjazmu, gdy wprowadza mnie w świat rzeczy, materii, belek, okien, parkanów, dachów, planów na budowę, siatek i pomysłów na dalszą twórczą rozbudowę działki.

Zauważam jeszcze raz, że jestem jakimś dziwolągami bujającym w obłokach słów i odstającym od „prawdziwych mężczyzn”, co to potrafią wszystko zrobić: przybić gwóźdź, wyborować otwór w ścianie, wykopać drenaż, zamontować kuchnię.

A ja wciąż – poeta, tylko głowa nie ta...

Na placu budowy przed domem Piotra moje wnuki jak koty w nowym miejscu skaczą z deski na deskę, z kamienia na kamień, wypróbują różne możliwości majsterkowania, turlania się ze skarpy, brudzenia w popiele po ognisku. Koty, jak mówi Piotr,

robią to samo, gdy widzą jakąś drobną zmianę w otoczeniu – muszą wszystko najpierw wybadać, obwąchać. Z tym że koty robią to z ostrożności, a Jasiu i Nina z nieostrożności; potem płaczą, że się poparzyły pokrzywami i mają bąble na nogach.

* * *

Wrzesień i początek października 2011 – wyłożony słońcem, ludzie zaskoczeni tak długo trwającą śliczną pogodą nie wiedzą, co z nią począć. Malkontenci obracają się niezdecydowanie na pięcie, nie mając na kogo zrzucić winy za swoje wrodzone niezadowolenie. Optymiści triumfują, znajdując w nasłonecznionym powietrzu niezbite dowody na sens swojej pogody ducha. Jednakże pod koniec miesiąca pesymiści upierają się coraz mocniej, że to normalne, gdy śmiertelnie choremu polepsza się na 5 minut przed ostatecznym kryzysem.

Literacki Nobel 2011

Żartuję, że najważniejsze nagrody otrzymali w tym roku moi znajomi.

Marian Pilot, wypróbowany przez lata przyjaciel, dostał Nike za powieść „Pióropusz” (ucieszyłem się).

Zaś 13 października 2011 ogłoszono, że Nagroda Nobla przypadła „w końcu” w udziale innemu mojemu znajomemu, Tomasowi Tranströmerowi. Bardzo się ucieszyłem, pewnie nie mniej niż Szwedzi interesujący się poezją, którzy czekali długo na ten werdykt i z roku na rok ich nadzieje wydawały się niknąć, przede wszystkim dlatego, że poeta od 1990 roku nowych wierszy prawie nie pisał. Ostatni jego cieniutki tomik nowych wierszy „Gondola żałobna”, w przekładzie Leonarda Neugera, przyjaciela poety, profesora slawistyki na Uniwersytecie Sztokholmskim, ukazał się w Polsce w Oficynie Literackiej w Krakowie... Milczenie poety (dosłownie i w przenośni) trwało ponad 20 lat i przerywane było tylko pojedynczymi utworami, w dodatku nie całkiem nowymi, lecz „opracowanymi” na podstawie wcześniejszych zapisków brulionowych...

Ale nie tylko długoletnie milczenie i szczupłość dorobku porównywalnego z dorobkiem Wisławy Szymborskiej, lecz i narodowość Tranströmera, a co za tym idzie obawa szwedzkich akademików, że zostaną posądzeni o stronniczość, powstrzymywała ich długo przed obdarzeniem głową rodaka noblowskim laurem.

Dziś, gdy ma 81 lat i jest sędziwym człowiekiem, postarzałem w dodatku przez chorobę, a więc nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie się cieszył życiem, opory zostały przełamane, tym bardziej gdy lata zweryfikowały ponadczasowość tej metafizycznej liryki, która nie straciła na świeżości, ba, jej wartość z czasem zwyżkuje. Piękno, głębia metaforyki autora „Muzeum motyli” są wartościami utajonymi, nie na pokaz, z twardą pestką tajemnicy w środku. Przy pierwszej lekturze nie rzuca się w oczy można przebiegać obojętnym okiem przez frazy poematów Tranströmera i... odłożyć

książkę ze znużeniem, mając wrażenie szwedzkiego chłodu, jaki zdaje się panować w tym kraju w stosunkach między ludźmi. Chłodu? Tak. Możliwe, że nawet lodowatości, tylko pamiętaj, koczku – powiedziała mi kiedyś znajoma pisarka szwedzka Rita Tornborg – że ten lód może cię sparzyć, tyle w nim sprasowanych emocji...

„Lód, który parzy” – tu docieramy do sedna jego poetyki.

Bo to, co widać na zewnątrz, to nic, liczy się cały „system korzenny”, liczy się wewnętrzna prawda przeżycia. Przyboś nazwałby to po swojemu: głębokoorną mową. Przy pewnych pokrewieństwach liryki szwedzkiego i polskiego awangardowego poety – nie należy wszak zapominać o różnicach. Przyboś był jednak racjonalistą, Tranströmer – jest intuicjonistą, poetą epifanicznym. Precyzją wyrazu dorównuje – gdyby w dalszym ciągu szukać pokrewnych poetów – Norwidowi, ale Tranströmer to jednak liryk, który zrezygnował z tradycyjnych środków (rym, rytm) i w tym sensie jest też bliski Różewiczowi, choć bardziej introwertyczny i metafizyczny. Więcej u niego miejsc niedopowiedzianych, przemilczonych, wieloznaczności, poezji zawartej między wierszami, a nie w wierszach. W wywiadzie dla pisma adresowanego do psychologów („Psycholog Tidningen”) mówi wręcz:

„Nie jest interesujące, co ja myślałem, lecz jak słuchaczce pojmują moje wiersze”.

Przez poetę przepływa stężona energia słów, znaczeń, których on nie musi do końca rozumieć, ba, nie powinien.

Jesienią 1993 roku miałem szczęście gościć przez dzień w domu Tranströmerów w Yasteras, stutysięcznym mieście, oddalonym niecałe 150 kilometrów od Sztokholmu.

Jak do tego doszło?

Moje wyjazdy do kraju Bellmana zapoczątkowane zostały w 1989 roku i wynikały trochę z konieczności, a trochę ciekawości. Mianowicie, gdy na skutek psikusów transformacji straciłem pracę, postanowiłem porobić trochę na czarno w Szwecji.

Dwa tygodnie zmywałem naczynia, drugie dwa – roznosiłem reklamy, ale w końcu doszedłem do wniosku, że Pan Bóg stworzył mnie do „celów wyższych” i rzuciłem to w diabły. Podczas z pozoru nieudanego pobytu w Sztokholmie zawiązałem jednak wiele znajomości w środowisku sztokholmskiej Polonii i wśród Szwedów związanych z polską kulturą (poznałem na przykład Andersa Bodegarda – tłumacza Szymborskiej, Kapuścińskiego i Gombrowicza, czy Macieja Zarembę: znakomitego reportażystę i publicystę, a nawet byłego premiera Szwecji – Faldina), w czym pomógł mi spotkany po latach Leonard Neuger, były krakowianin. Neuger był przyjacielem Tranströmerów, znakomitym tłumaczem wierszy Tomasa na polski. Za jego pośrednictwem oswajałem się z niełatwą poetyką szwedzkiego mistrza. Dzięki Neugerowi odbyłem kilka spotkań autorskich w Sztokholmie (m.in. na uniwersytecie) i przeprowadziłem kilka znaczących wywiadów dla prasy polskiej.

cdn.

Teologia wiersza

Poezja pełni w życiu człowieka wiele funkcji, np. eksponuje przyjaźń, miłość, ale i nienawiść oraz niezgodę. Pełni również funkcje religijne jako wyraz wiary jednostki przybierając formę modlitwy do Najwyższego. Ważne w tej postawie są doświadczenia z okresu młodości, kiedy to formowały się podstawy osobowości człowieka, który często wraca do tych czasów dzieciństwa. Owo postrzeganie korelatu wiary, jakim jest byt boży, zawsze jakoś łączy się z miejscem urodzenia i dojrzewania człowieka, szczególnie z przyrodą i krajobrazem tego miejsca, w którym rozwijała się umiejętność postrzegania tego naturalnego piękna, ale i chęć nieustannego, pośrednio i bezpośrednio, obcowania z nim. Z taką sytuacją intelektualną i artystyczną łączy się niewątpliwie zawartość poetycka tomu wierszy pt. „Ziemia kamienna” autorstwa **Eligiusza Dymowskiego** – kapłana, franciszkanina i doktora teologii. Urodził się i wychował w regionie północno-wschodnim Polski w okolicach Druskiennik niedaleko rzeki Niemen i Czarnej Hańczy. Od dziecka doświadczał wielokulturowości, wieloreligijności tego regionu, widząc w nim piękno i wzniosłość jako nieklamany wytwór woli bożej, w którym On mu się uobecnia. Działo się tak nawet kiedy podróżował po Polsce i świecie, czy nawiązywał do wybitnych poetów, którzy m.in. inspirowali się podobnymi przeżyciami religijno-estetycznymi, np. Mosze Kulbaka, Zbigniewa Herberta, Bolesława Leśmiana, Adama Mickiewicza, Alberta Camusa, czy Czesława Miłosza i Sylvi Plath.

Kolejne wiersze Dymowskiego inspirowane są głównie poszukiwaniami śladów Boga w bliskim mu świecie, często przyjmujących formy modlitwy i kontemplacji, abstrahujących od paradoksów wiary. Poeta podkreśla, że kluczowe dla życia człowieka są walka o pokój i poczucie istnienia Boga, budzącego nierzadko trwogę, ale i życiodajny szal, bo dla Niego człowiek jest bytem najważniejszym. W wierszu – „W przytulisku Brata Alberta” pisze: *twoja dłoń podaje chleb / nie pyta o adres / człowiek jest najważniejszy*.

Z kolei w wierszu „Góra błogosławieństw” czytamy: *(...) // wspinając się na szczyt / za każdym razem drżysz z przerażenia / święty / od najwykleszych spraw*. Autor podkreśla, że wiara, by była skuteczna, musi mieć charakter zbiorowy, bo *nie zbawia się świata / w pojedynkę*. Towarzyszy jej zwątpienie, cierpienie, niepewność, ale i *misterium incarnationis*, ujawnia miłość bożą i przebaczenie dla grzesznego żywota. Doświadczenie biedy, choroby, ukazuje nam, że *do śmierci nigdy nie dorastamy / i nie doroniemy*, a jedynie kamienie dają świadectwo naszego bytowania i towarzyszących mu nadziei, kiedy np. odwiedzamy cmentarze i czytamy epitafia. W wierszu bez tytułu dowiadujemy się: *przytul do dłoni kamień / ukoi*

ból / wykrzyczy go z tobą / nie raniąc nikogo / słowem.

Dwie kwestie według poety są ważne dla człowieka, czyli widmo Sądu Ostatecznego, ale i kondycja naszej Ziemi. Sąd bowiem stanowi dla wierzącego ostatnią instancję sensownego wyboru życia i perspektywę jego wiecznego istnienia, zaś szacunek dla „matki” Ziemi – „wybranki Boga” – jest zapowiedzią również wiecznego zbawienia ciała. Nasz ziemski byt, pomimo wszelkich jego dokuczliwości i niedogodności, jest przecież „miłosnym darem niebios”. Natomiast słowa i kamienie są dwoma stronami wiary. Życie bowiem przypomina Syzyfowy wysiłek wtaczania kamienia na górę, ale i pogoń za prawdą istnienia oraz nieśmiertelnością, co dobrze ilustrują fenomeny podróży, miłości, modlitwy, pracy kobiet, ale i dialektyki zmiany dnia i nocy. W tej perspektywie ważne dla poety jest studium portretu własnej matki piekającej chleb – dającej nam dar życia.

Patrząc na fizyczny i metafizyczny wymiar oraz przekaz tego tomiku nietrudno nie zauważyć że pozostaje w duże koincydencji z atmosferą obecnych nam czasów, kiedy żyjemy w cieniu „wielkiej zarazy”, która dotyka w wymiarze globalnym wszystkich bez wyjątku i odbiera ludziom nadzieję, że kiedyś się to skończy. Wobec tych traumatycznych doświadczeń i przeżyć, na które nie mamy większego wpływu, zaczynamy rozumieć naszą znikomość w świecie, ale i sens naszego powołania przez Stwórcę. Warto zatem przeczytać tę książeczkę, by znaleźć racje za przekonaniem, że istnienie zawsze ma jakiś sens, a nie jest tylko nieustannym doświadczeniem absurdalności naszej kondycji w świecie.

prof. Ignacy S. Fiut

Eligiusz Dymowski, „Ziemia kamienna”. Redakcja i koncepcja graficzna: Janina Osewska. Fundacja Słowo i Obraz, Augustów 2020, s. 48.

Czarodziej słów

Książka **Jana Zdzisława Brudnickiego** „Jeźdźdźdo do świata” wydana w 2018 roku przez wydawnictwo „Tomograf” jest dla mnie pozycją przepiękną, o niespotykanej sile „rażenia” duszy ludzkiej.

To дума o wsi silnej mnogością rodziny i sąsiadów, słabej względem wojen i kataklizmów, bezradnej wobec praw kolejnych ustrojów, zaradnej w trudach życia codziennego. To ciekawie podane piękno wszystkiego, co naturalne i pierwsze, ale jednocześnie, niczym złośliwe wirusy pojawiają się: zemsta, zapalczywość i chciwość. Wieś radosna urodzajem i obyczajem, a smutna biedą niezawinioną uczy autora jak nie przegrać własnego życia, ale i jednocześnie uczy dostrzegać tego obok: mądrzejszego, bardziej

odważnego, bardziej ciekawego świata. Nieustająca chęć powrotu w swoje strony, objawia się w wielu momentach tej książki. *O, tu się przyprowadzi dzieci, żeby zobaczyły, wzięły do ręki, a może i przegryzły żyto, pszenicę, owies, jęczmień... i dalej Pole zostaje, pole ma skowronka, co mu gardełkuje, pole sobie dojrzewa i faluje ku żniwom, tnącym ostrzom*. Cała radość z odwiecznego porządku natury, jakiś *constans* ale pulsujący i żywy, jak życie.

Rentgenologiczna natura autora popychająca do badania intelektualnych uroków człowieka, zwabia go do miasta. Taki niby typowy model „innej epoki”, jak w serialu „Daleko od szosy”, ale nietypowy, sam jeden, osobny. Jedynek literacki – Jan Zdzisław Brudnicki. Taki świadość, że stwierdza: *W obrocie koła wszystko się kończy i nic się nie kończy* – bez przerwy poszukuje, zagłębia, próbuje, smakuje, gania a nawet węszy, bo żeby świat pokochać, trzeba go najpierw poznać i starać się go zrozumieć. Choćby wojna. Zabijaniem wolność się kończy i zabijaniem zaczyna.

Dla autora najprostsze zdarzenie jest tylko materiałem, z którego montuje niczym z puzzli obrazy kolejnych etapów swojego życia. Tak wiele obrazów, a wszystkie z miłości do świata. Od samego poczęcia dzieją się w człowieku niewidzialne przemiany, których skutki są widzialne. Autor bardzo lubi żyć. Do tej książki wchodzi się tak właśnie, jak do życia. Wiadomo nie od dziś, że każde dzieciństwo i to radosne i to smutniejsze określa całe trwanie człowieka. To w dzieciństwie poprzez bez troską acz twórczą zabawę, próbujemy zaznaczyć swoje zdanie, zdolności, realizować marzenia. Proces stania się człowiekiem był dla autora czasem fascynującym. Znalazł sposób na podróż do świata. A ponieważ mu się do tego świata bardzo spieszyło, zmontował jeźdźdźdo. To najbardziej uczłowieczony rower, jaki znam. Świat widziany z siodła roweru nie jest zamazany, wszak szybkość nagrywania zależy od siły nóg i chęci autora. Przyspieszenie na zaciekawienie, przystanek na żądanie. Ten szprychowiec ma serce i duszę. *Już jest moimi najlepszymi nogami* – stwierdza autor. Ten rower dowozi go w konieczne miejsca, objeżdża nieznanne zakątki, zajeżdża niespodziewanie w miejsca konfliktów, dojeżdża w ostatniej chwili do ważnych egzaminów, przejeżdża przez błoto, piach, kamienie, strumyki, wydmy leśne, rowy, góry, drogi szutrowe, brukowe, asfaltowe... Ten rower jest niezmiernie wszystkiego ciekawy, wjeżdża w sam środek spraw różnej wagi, radzi sobie z pierwszymi namiętnościami i problemami dojrzewającego człowieka. I o dziwo, to rower ciągle prowadzi. Człowiek staje się tylko paliwem. *Spojone z nerwami...* autora jeźdźdźdo łapie trop, i niczym pies myśliwski bezbłędnie trafia do celu. Czasem wehikuł najzwyczajniej w świecie zmęczy się, a nawet zbuntuje. Wtedy trzeba na popych, a nawet na ramię, trzeba przekonać sprzęt, że warto, że trzeba, że mus to mus. Jeźdźdźdo rozumiejące, cierpiące razem z autorem, milczące kiedy trzeba, pamiętające drogi i dróżki. To jednocześnie

(Dokończenie na stronie 18)

Czarodziej słów

(Dokończenie ze strony 17)

kamerdyner, lokaj, guwerner i najwierniejszy służący młodego Brudnickiego, ale też wehikuł w sam raz dla duchowego wzroku autora. Chciałoby się tutaj krok po kroku, strona po stronie smakować tych tekstów, chciałoby się na fundamencie tej książki budować swoje wspomnienia. Zjrzyjmy na kolejną stronę książki. Opis wiejskiej zabawy. Mój ojciec był muzykantem, chodziłam z nim na zabawy, a potem już sama czekałam na taki „czyścić”. Tak o wiejskiej zabawie i o tym co się działo obok tej zabawy, ale za jej przyczyną, mawiał mój dziadek. Kto nie przetańczył, nie przeszałał tamtych zabaw, dużo stracił. To zarazem teatr, kino, kabaret, koncert – w reżyserii serca i ciała. I wydaje się, że to wszystko *ad hoc*, że spontanicznie, czasami nawet bezmyślnie, głupawo. To jednak nie tak. Tańczenie to potrzeba dla ciała i duszy, sterowana muzykantami, którzy wyrosli obok, nie byli zmanierowani szkołami, znający radości i bóle ludzi wsi i okolicy. I tak grali, że aż skrzypce zapłakały, aż akordeony się rozplotkowały, a bębny wprost biły w myśl i wyobraźnię. Podkręcały rytm, reagowały na wszystko, co działo się wokół. Szło wyczuć radość z urodzaju i smutek klęski, zabierało się w wir oberków skrywane uczucia, niespełnione marzenia, udrękę i biedę, przemoc doznaną, odtrącenie konkurentów. To najlepszy rodzaj psychoterapii. Tu pasowało wyśpiewać swój ból, wykrzyknąć krzywdę, wyładować złość do krwi czyjejs i własnej. Te bitki i szarpaniny na dworze, w opłotkach były rodzajem rozliczenia i bywało – ukojenia. Po takich przeżyciach ludzie uspakajali się na jakiś czas, bo „odwirowali się” się z nagromadzonych żalów. Zdarte zółwki w zmwowie z podłogą przenosiły uczestników w nieodgadnioną dla pióra „nieprzytomność”. Autor tak to ujmuje: „W ciemności, w błocie krew się lała, rany się otwierały, a rosła zaciętość za robotę ponad siły, za biedę, za pohańbienie, za żonę bez miłości, za stanie w kącie w kościele, za sąsiada co podorał miedzę, wypasł koniczynę, podpalił szopę, zabił kurę lub psa, za grad co stłukł pole, za złodziei, za, za, za to, że nie ma ludzkiego życia i nie ma sposobu żeby to przejść”. I dalej, dla porównania wspomnienia z dyskoteki i filharmonii. „...gracze i graczynie...” metodą mocy muzyki starają się zawładnąć ciałem, sercem i duszą człowieka w celu dotknięcia dobra, ale i spróbowania zła i jego okiełznania. Dosłowność przeplatana przenośnią w trwaniu ciągłym, nieskończonym, z przyszpilonymi na moment datami lat ważnych, z zaznaczonymi dużą literą nazwiskami ludzi wyjątkowych. Autor bardzo dobrze czuje się w formie i rytmie tej książki, pisze ją całym sobą, książka jest taka, jak autor i wydaje się, że istniała w umyśle autora już dawno, tylko przekorne pióro zwlekało zbyt długo.

I dojechał autor jeźdźdłem do miasta, do szkół, do nazwisk wielkich, do ulic szerokich, teatrów znanych, muzyki kształconej, języka „pańskiego”, pędzla kierowanego, dłuta

szkolonego. W rozdziale „Jeźdźdło na skarpię” czytamy: *I po próbach trasy na Wolność, Nowolipki, na Miłą, Leszno, Żelazną, Ogródową, Dzielną, Senatorską, a jakże, gdzie ojciec po raz pierwszy był i nocował u kolegi w czas wojenny i całe życie wspominał film o łodzi podwodnej i niemieckiej, wyruszyłem w dalszy oszałamiający, niewyobrażalny, szeroki jak dawne światło, świetny świat.* I kotłowało się w nim to co pierwsze z wykreowanym, to przeżyte z wyuczonym, to namacalne z oglądanym na papierze czy ekranie. I gdyby wybierać przyszło... Ale egzystować trzeba, trzeba nauczyć się po miejsku żyć ze słowa, zdolności zamieniać na pieniądze. Tak by się chciało po dawnemu dzielić się tym, co się ma w sobie dobrego, danego przez Boga, a tu każdy rozum musi chodzić na dwóch nogach, więc coś jeść się musi, gdzieś mieszkać. Dalszy rozwój autora w sferze odbioru wrażeń i tworzenia dróg poznawczych jest generowany przez doświadczenia dzieciństwa i młodości. To rozwijanie w zdania złożone zdań prostych wpisanych, wrytych w pamięci i wrażliwości młodych lat.

Przyszedł więc czas na całe góry książek, pagóry czasopism, pagórki notatek... I myślenie się ćwiczyło, nabierało formy, jak ciało wyczynowca. I patrzeć się wyostrzało, widziało więcej i przenikało przez przeszkody. I pióro się rozochociło i wyruszyło ku takim osobowościom jak: Zofia Nałkowska, Tadeusz Nowak, Jerzy Zawieyski, Miron Białoszewski czy Fryderyk Chopin. Biografie, szkice, recenzje eseje, felietony – zapraszały do poznawania ludzi i świata. Niejeden tekst autora porządkował, przybliżał, wyjaśniał ten stan współczesny, z którym trudno sobie poradzić, trudno objąć umysłem i sercem. I niejedno jurorowanie wymagało rozważnego „rozczytania” i podania opinii w wersji serdecznej, acz rzetelnej. Wypełnione zrozumieniem zdania dla pierwszych tekstów piszących są jak nadzieja, jak jutrzenna.

Jakim językiem pisze autor? Podobno językiem starego roweru, tak to sam określił. Nie jest więc Brudnicki językowo grzeczny, ani ułożony. Zastane przez niego terminy i pojęcia są niewystarczające, by opisać to, co dzieje się w nim samym. Tworzy więc nowe słowa, nie brak tu także pomysłów na gierki z formą. Czuję tu ponad wszystko wielką swobodę językową właściwą mowie chłopskiej. Przepiękna kreacja literacka pobierająca z mowy polskiej to, co akurat pasuje do wyrażenia uczuć, oceny sytuacji czy opisu. Gwara nadaje koloru tym opowieściom, wspomnieniom, czasami spowiedzi nawet. Język literacki nie boi się słów dawnych, zdań całych czy większych fragmentów gwarowych. Na zasadzie wielkiej zgody te dwie formy artystycznego wyrazu uzupełniają się, bądź dopełniają. Słowacki tak kiedyś się wyraził: *Chodzi mi o to, aby język giętki, powiedział wszystko, co pomyśli głowa...* Książka Brudnickiego jest wspinałym potwierdzeniem, że istnieje taki „giętki” język i cieszę się, że mogę poprzez taką formę zapisu poznawać myśli autora. Nie zamierzam tu dobrać się do zapisanych treści i tworzyć spojler tej pulsującej biografii, bo celem tej książki nie było pisanie życiorysu. To zapis związku autora z historią, ze słowem, z

ludźmi tymi przed i teraz, a może... *I nawet trochę w zaświaty, przedświaty oświecone, dawne, nowe, pierwsze* – pisze jasno autor.

Książka jest zaproszeniem do dialogu, a może bardziej do rozmowy z samym sobą, swoim własnym językiem, według filozofii, którą sam dla siebie człowiek wyprowadził z lat mu danych, z wiedzy wszelakiej i z przeżyć duszy i ciała. Pozostaje mi tylko czekać, aż z tej książki autora „wykręci się” następna, by znowu zagłębić się w lekturze.

Anna Błachucka



Podane w otwartych dłoniach

Umiera prowincjonalny poeta. Ktoś, kto miał ograniczone możliwości zaistnienia w świecie literackim z racji miejsca zamieszkania i braku wsparcia w środowisku, które nie rozumiało jego pasji i nie doceniało talentu. Pozostaje garść wierszy publikowanych w necie, gdzie trudno wyłowić coś wartościowego. Po kilku latach nawet znajomi z sieci, którzy deklarowali poparcie i „lajkowali” utwory zajmują się własnym pisaniem i nie pamiętają, że ktoś tam był, ktoś tworzył – nieraz całkiem dobre rzeczy. Umiera pamięć i dorobek, choć podobno w Internecie nic nie ginie. Znany obrazek? Niestety całkiem powszechny. Na szczęście pomimo wszechobecnego narcyzmu i egoizmu panującego wśród osób piszących zdarzają się przypadki, gdzie poeta ratuje to, co pozostało po innym poecie. Bezinteresownie, kosztem własnego czasu, czasem własnych pieniędzy. Taką inicjatywą jest tom Gabrieli Lilianny Cabaj „Jeszcze nieba nie zamykaj”, który w czerwcu tego roku wyszedł dzięki staraniom Leszka Lisieckiego. Gabriela Cabaj – rodowita Kaszubka, nauczycielka pracująca na roli pozostała po sobie skromny tom „Przenikanie” i olbrzymią ilość tekstów rozsypanych w różnych miejscach w sieci. Gdy zmarła cztery lata temu wydawało się, że spotka je taki sam los, jaki dotyka wiele innych utworów. Na szczęście człowiek, który znał ją tylko z sieci postanowił zebrać te rozproszone perełki (wiersze, prozę, wspomnienia) i po negocjacjach z rodziną wydał w solidnej czterysta stronicowej książce. Na okładce i wewnątrz tomu znalazły się zdjęcia Leszka Lisieckiego oraz fotografie, które udostępniła rodzina. Projekt i opracowanie graficzne okładki zawdzięczamy Justynie Puchalak, redakcją i korektą tomu zajęli się Joanna Rzdokiewicz-Nowocień i Rafał Nowocień. Swoje słowo o twórczości autorki w rozdziale *Postscriptum* wyrazili: Stanisław Nyczaj, Rafał Nowocień, Joanna Stodyczka, Jacek Aleksander Sojan

i Agnieszka Sroczyńska. W *Przedstawieniu* wypowiada się sam inicjator powstania książki – Leszek Lisiecki „tłumaczy się” skąd pomysł, co odnajdziemy w tomie i skąd zbierał materiał do tak solidnego zbioru.

Tyle tytułem chyba potrzebnego wstępu, a teraz już o tym, co udało się „ocalić od zapomnienia” jak pisał Gałczyński – bo książka w wersji papierowej to coś, co nie przepadła tak łatwo.

Świat współczesnej poezji, z którym może mieć do czynienia przeciętny czytelnik, to dziś mocno abstrakcyjne wiersze, promowane przez znane media. Z ulgą sięga się po utwory dużo bliższe człowiekowi, które nawiązują do jego otoczenia, a jednocześnie zawierają w sobie to, co stanowi istotę poezji – piękno, prawdę, dobro. Do takich małych pereł literackich trzeba zaliczyć zarówno liryki, felietony, jak i prozę poetycką zawartą w pośmiertnie wydanym tomie Gabrieli Lilianny Cabaj „Jeszcze nieba nie zamykaj”. Charakteryzuje je silne zakorzenienie w rzeczywistości. Autorka nie doszukuje się obrazów pod podszewką tego, co widzi – żyje tu i teraz, przeżywa tu i teraz, pamięta tu i teraz. Czaruje prostotą, choć erudycja nie jest jej obca; nawiązuje do postaci ze świata historii i kultury, co staje się punktem wyjścia do zadumy nad przeszłością i wytworami ludzkiego geniuszu. Nie musi uciekać się do udziwnień, jej poetykę charakteryzuje konkretność metafory: *Ta woda ma kamień / u nogi – // twarda nasza woda ze studni („Osuwanie”)*.

Wyraziście odkrywa piękno w obrazie, jaki zostaje jej przedstawiony i w taki sposób podaje je do skosztowania odbiorcy. Nie jest to jednak pustostawie, albowiem zwraca uwagę stawianiem znaczenia nad opisowością – opis służy zwróceniu uwagi na związane z nim przemyślenie czy uczucie. Nie potrzeba barokowego przetądowania słowem, by wyrazić myśl *explicite*: *jeszcze nie odchodź / zostań na chwilę / zanim nas wiatr / nim umrze światło („Dmuchawce”)*. Do przedstawienia tego, co chce powiedzieć, nie trzeba wymyślnych słów: „Mówisz pylony, a widzisz filary” (*„Krzywe latarnie na moście”*). Autorce wystarcza bogaty zasób wysmakowanej polszczyzny, by zatrzymać i zachwycić czytelnika. Gabriela Cabaj łapie świat w dłonie i podaje dalej – jest to chyba najczęściej przewijający się motyw jej wierszy. Przyjęto, że historia człowieka zaczęła się w momencie, kiedy pierwszy hominid zaczął używać dłoni. Dłoń można otworzyć w geście powitania, w gniewie można zacisnąć ją w pięść, można jej użyć do tworzenia lub niszczenia. W twórczości Gabrieli służy do wyrażenia bliskości, skierowania się ku drugiej osobie, nawet przekazania głębokiej intymności: *Swoją mamę przytulam, całuję. Patrzę, / głaszczę jej pomarszczone piegowate ręce („Wizyta”)*, ale i do opisu codziennych prac kreujących najbliższe otoczenie. Jej świat - to świat przyrody, która zachwyca smakiem, dotyknością, zaludniony przez ludzi, którzy mają prawo tu być, którzy są częścią harmonijnej całości - nadają jej sens. Każda istota ma tu swoje miejsce, nawet niepozorny gryzoń jest wpisany w koło życia toczące się w wierszach

Gabrieli: *Leśna mysz umiera cicho i mało / znacznie, bez żalu za straconym czasem, / na kępcze mchu, / który wnet ją przerośnie („Rozkład”)*. To świat wartości rodzinnych, interakcji międzyludzkich, bliskości. Nic, co ludzkie nie jest jej obce – w wierszach oswaja miłość, samotność i przemijanie tak, że te ostatnie tracą swą gorycz, stają się częścią istnienia. Gdzieś poza nimi pozostaje nadzieja. Powie: *ciągnęliśmy wóz jak para zgranych koni / uśmiechamy się nadal / całujemy w usta / oswajamy śmierć która jeszcze nie boli („Rocznicy świętowanie”)*. Umieranie to zjawisko, którego nie da się wykluczyć, ale poza nim istnieje coś więcej, co zostało zasygnalizowane np. w wierszu „*A tam odwrotnie*”: *...wszystko stanęło / na głowie // Nawet Bóg siedzący na swoim wszechwładnym tronie / znieruchomił do góry nogami*.

W każdym aspekcie twórczości Gabrieli Cabaj da się wyłapać poetyckie spojrzenie, ostrość osądu rzeczywistości, trafność przemyśleń i obserwacji. Niestety, jak już wspomniałam, tom został wydany pośmiertnie; kolejna księga istnienia została zamknięta. Kim była Gabriela Cabaj, możemy poznać kartkując „Dzienniki” zamieszczone na końcu publikacji. Jest w nich afirmacja życia podana soczystym, dopracowanym językiem, obraz kobiecej codzienności, zapis przemyśleń nietuzinkowej osoby, której nie było dane zaistnieć w szerszej świadomości, choć zaślugała na to z racji talentu. Pozwolę sobie zamknąć swoje rozważania krótkim cytatem z „Dzienników”, myślę, że trafnym: *Pamięć jest domeną żywych dla żywych. Umarli są w zasadzie ponad zdobienia*.

Joanna Słodyczka



Zaprzęg z cieniem

Część II

Konie obsypane pyłem białą-szarej glinki przylegającej do wilgotnej od potu sierści u jednego gniadej, a drugiego koloru kasztana, wciągnęły wóz na rozległą płaszczyznę nazwaną przez dziewczynki i ich ojca podwórkiem. Krótkie „prrr” powożącego obwieściło umęczonym zwierzętom kres maratonu. Drżały każdym mięśniem, trzymały łby w pozycji wyznaczonej uprzężą, nie mając sił na zmianę, chociażby ich opuszczenie.

Z wysoko załadowanego wozu odezwał się głos Babci Agnieszki, jak zawsze zycliwy, mimo niewątpliwego zmęczenia. „To chyba jest na końcu świata, jakoś od ludzi daleko, tylko do Pana Boga blisko z tego czubka góry”. Po wydostaniu się z pakunków, między wysokimi drabiniastymi bokami fury,

stając na dyszlu między końmi, zeszła na ziemię, przy niewielkiej pomocy zięcia. Oboje byli zmęczeni daleką podróżą, on wysoki, szczupły, ona również wysoka, dobrze zbudowana, niemłoda już, ale i nie stara. Mała Ligia po raz pierwszy zastanowiła się, jaka jest ta Babcia. W Lubartowie (faktycznie pod Lubartowem), jak określała miejsce, z którego ją wyrwano, obecność Babci nie upamiętniła się Ligii. Jej córka – ciocia Czesia – bywała częściej i dłużej w ich domu, zapewne obie na zmianę pomagały Mamusi przy kolejno rodzących się dzieciach. Przedostatnie narodziny dziecka – Tereni – Ligia już pamiętała. Właśnie. Jakoś mniej pamiętała to ostatnie. Babcia rozglądała się wokół. Na zielonej płaszczyźnie wzgórze nie było budynku mieszkalnego. Stało coś w rodzaju obszernej szopy i duży namiot.

„Gdzie mieszkają dziewczynki i gdzie będzie mieszkać Antośka z dzieckiem?” - zapytała z niepokojem. Antoni wskazał na namiot, a następnie na stertę desek. Zgroza na twarzy Babci ukazała się tylko na chwilę, właściwie przemknęła po niej i ustąpiła miejsca spokojnej rezygnacji. Widziała, że dziewczynka przygląda się jej z niepokojem, uświadamiąjąc sobie, że nie wszystko jest w porządku. Nie przyszła Ligii, tatusiowej córeczce, do głowy jakkolwiek krytyka Tatusia, nawet na moment. Odczuwała, że Tatuś ją lubi, że jest mu ciężko, bo, jak mówił, nie ma w domu do pomocy chłopca. Nie ogarniała wszystkiego, nie brała pod uwagę, że nieżyjący brat Rysio, jakkolwiek starszy od niej o kilka lat, byłby również jeszcze dzieckiem. Nie przychodziło jej do głowy, że to Tatuś podjął się zadań ponad miarę, że nie zdaje sobie sprawy, na co naraził dzieci i żonę z niemowlęciem. Ligia nie mogła tego rozumieć, czuła się natomiast jakoś odpowiedzialna za istniejącą sytuację. Ona, kilkuletnia dziewczynka chciała zastąpić ojcu syna, który musiałby być tytanem, żeby podołać temu, co ona na siebie przyjmowała. Nie była niczemu winna, ale czuła się tak, gdy Tatuś narzekał, dając wyraz niezadowolenia wobec żony i córek. Babcia ogarnęła w jednej chwili całą sytuację, ze swoją dobrocią, prostolinijnością i głęboką mądrością, w której z czasem Ligia zobaczyła również wielką rezygnację. Tej ostatniej nie przejęła od Babci. Inne cechy tak. Pomogło jej to pokonać wiele trudności, wiele osiągnąć i zachować optymizm.

Teraz patrzy na Babcię uzyskując wiedzę, której nie jest w stanie spożytkować. A Babcia stojąc na wzgórzu, z rozległym widokiem na rozpostarte w dole łąki, porośłe gdzieś niedługo małymi olszynami, przecięte wąską rzeczką z kilkoma chatami w pobliżu i małą wioską w dali oraz puste pola po przeciwnej stronie, mówi znamienne słowa: „Wywieź dziewczynki i żonę na takie pustkowienie, na głód, ciężką pracę i samotność, gdy się było wśród ludzi, kilka minut od szkoły. Gdzie było co włożyć do garnka, to bardzo jej postanowienie, to...”. Tatuś przerwał jej i dalszych słów Ligia nie usłyszała. Babcia nie wróciła już do swojej wypowiedzi, a później,

(Dokończenie na stronie 20)

Zaprzęg z cieniem

Część II

(Dokończenie ze strony 19)

gdy wszystkie złe przewidywania Babci spełniały się, nie było warunków do wymiany myśli i ocen. W doli i niedoli trwała z nimi, ciężko pracowała i znosiła złośliwości zięcia na los i jego pretensje do rodziny. Ligia długo tego nie rozumiała w pełni, podobnie jak i jej siostry, może z wyjątkiem najstarszej. Wszystko było lub stawało się nieodwracalne, aż dokonało się. Właściwie zło stało się już z chwilą decyzji rodziców (Tatusia) o wyjeździe z Lubartowa.

Wzgórze zaczęło mrocznieć, zapadał letni zmierzch, podróż skończyła się, trzeba było wyprowadzić konie. Oswobodzone zaczęły skubać trawę, były głodne, ludzie też. Babcia zakrzętała się, szukając, z czego może przygotować posiłek. I tak się już potoczyło ich nowe życie.

Pewnego poranka, jeszcze ciepłego końcem lata, Ligia schodziła łagodnym ukłonem góry, stąpając uważnie, aby nie skaleczyć bosych stóp o sterzące wokół krzewów „korniaki”. Tak nazywało się w jej domu uschnięte części gałęzi obumarłych lub ułamanych blisko korzeni. Zbierało się je na opał; dzięki nim Babcia mogła ugotować posiłki. Mamusię denerwował ich szybko kończący się płomień. Wołała torf, ale tu nie był on tak łatwy do zdobycia jak w Lubartowie. Tam mieli kawałek własnej łąki torfowej. Ligia tęskniła do tej łąki, a właściwie do tamtych przestrzeni miętko uginających się pod nogami, nazywanych bagnami. Rosły na nich piękne różowe, wysokie kwiaty, a wieczorem i wczesnym rankiem dymiły gęstą mgłą. To o nich napisze później długą balladę trzynastozgłoskową, na wzór mickiewiczowskich. Miały w jej dziecięcym sercu specjalne miejsce.

Tu gdzie teraz mieszkają, też unoszą się mgły, poniżej góry na której stoi dom nad łąkami pełnymi kępek małych olszynek. Tu też kopie się torf, ale nie na łące należącej do jej rodziców. Jego pokłady, znacznie mniejsze, występują po drugiej stronie rzeczki. Właśnie pomyślała o tamtych kwiatkach. Tu na zboczu góry rosną kwiaty, też różowe, ale mniejsze, jaśniejsze i mają inny zapach. Dzikie goździki, o ładniejszym niż kwaciarniane zapachu. To chyba starsza siostra Lodzia tak je nazywa, a może Babcia? Ciekawe, jaką mają oficjalną nazwę?

Ligia schyliła się by zerwać kilka i w tym momencie zobaczyła granatowo-turkusowy kłębek, który nagle zatrzepotał skrzydłami, nie mogąc oderwać się od ziemi. Zrozumiała natychmiast. W zastawione sidło złapał się bażant. Będzie obiad dla całej rodziny, pomyślała, była taka głodna. Od paru dni w domu brakowało jedzenia. Myśli biegały po głowie,

jednocześnie ręce starały się pochwytać ptaka, by nie zaciskał sidła na szyi. Nie wiedziała, co zrobi dalej, w tym momencie najważniejsze dla niej było zdjąć sidło. Piękno ptaka zachwyciło dziewczynkę i poraziło. Czuli, że nie będzie w stanie go zatrzymać. Boże, jaki on jest piękny, szeptała. Otworzyła dłonie, jak gdyby wskazując bażantowi drogę do wolności. Przefrunął nad zboczem górki naprzeciwko i opadł w krzewy należące do sąsiadów. Żeby tamci chłopcy nie złapali go, pomyślała z troską, a przed oczami miała wciąż błyszczące turkusem pióra na jego szyi. Jak o tym powiedzieć w domu, zastanawiała się, przyciągając gałąź leszczyny, na której spostrzegła dorodny orzech. Już są prawie dojrzałe, stwierdziła, przegryzając skorupkę w zębach. Robiła tak nawet z zupełnie dojrzałymi orzechami, aż do bólu szczęk. Lubiła te owoce leszczyny. Były namiastką posiłku, służyły jej, i jak sobie po latach uświadomiła, może dzięki nim ma tak dobrą pamięć. Teraz po prostu chciała się nimi pożywić. Wtem poczuła ciepło na ręce, to pieszczoch, żółto-brązowy żrebackek, domagał się swojej porcji. Dostał następny orzech, rozgryziony i wylupany ze skorupki, żeby się maluch nie udławił. Chodził z nią często po krzakach, odbiegając od gniadej, jego matki, wypuszczonej na trawę. Jeśli nie było suszy, zwierzęta można było wyżywić trawą i zielskiem. Gorzej było ludziom, ale jesienią było łatwiej, bo urosła już marchew, dziki szczaw rósł od wiosny. Pieszczoch domagał się następnej porcji oraz głaskania po długiej, trochę splątanej sierści. Ligia nazywała go z tego powodu Kudłaty, ciesząc się, że w zimie będzie mu ciepło, bo w stajni i obórce było zimno.

Plon w postaci laskowych orzechów nie był duży, ale poczuła się rażniej, gdy wracała z płaczącym się wokół niej kudłatym pieszczochem. Czuli się prawie szczęśliwi, tylko jak powiedzieć w domu o wypuszczonym bażancie? Przyszło jej do głowy, że wyszczotkuje Kudłatego, tatuś się ucieszy, wczoraj mówił o takiej potrzebie. Żrebackek nie wytrzymałby szcztokowania i trzeba było zrezygnować. Wówczas Ligia stwierdziła, że to już jej druga rezygnacja dzisiaj i opowiedziała o wypuszczonym bażancie. Rodzice wykazali zrozumienie, Babcia też, chociaż powiedziała: „Dziewczynka zjadłaby rosołku”. Dziewczynka, najmłodsza siostra Ligii, urodziła się w czasie pustego pola i głodu. Nie miała też czego wyssać z pustyj piersi mamusi. Ciągły niedobór jedzenia był dla niej szczególnie dolegliwy, a jego skutki pozostały na zawsze ślady w jej organizmie. Babcia ratowała ją, czym tylko mogła, i starsze rodzeństwo było czasami zazdrosne o tę szczególną troskę.

Tej nocy śnił się Ligii piękny bażant w locie, prawie słyszała świszczący furkot jego skrzydeł. Rano znalazła siedem jajek, po jednym dla każdego z rodziny, w gnieździe ukrytym przez kurę Czubatkę. Nawet jej specjalnie nie śledziła. Wszyscy uznali, że to nagroda za uwolnienie bażanta. Wolność zawsze miała i ma dla Ligii wysoką cenę.

Jak na taśmie filmowej przesuują się

obrazy dzieciństwa. Najwcześniejszego. Niemalże z pozycji kołyski. Nie może to być, by świadomość dziecka tak wcześnie postrzegała i notowała zdarzenia. Może jednak? Jej przypominają się właśnie jakieś zdarzenia, pojedyncze, niemal urywki. Nie stanowią całości, nie pamięta wielu spraw, nawet późniejszych. Pamięć przeskakuje automatycznie nad krzykami budzącymi strach, jakby chciała się wyeliminować. Miga twarz matki pełna lęku, głośny płacz dziecka, a potem sylwetki dorosłych ludzi i ona już obserwująca, słuchająca, rozumiejąca. Stara się przypomnieć sobie, jak zaczęła rozumieć, i wówczas pojmuje, że tu nie pomoże jej nawet doświadczenie z własnymi dziećmi. Nie sposób tego odtworzyć, tak jak nie sposób odtworzyć kolejności zmiany koni i ich maści zapamiętanych z tamtego okresu jej życia. To chyba było tak: kasztanka, kasztanek wysoki i mała gniada, znów kasztanek i gniado-kary, już nie żrebaki, a jeszcze nie konie, potem kasztan wysoki i czerwono-gniada niska narowista kobyłka.

Czasami maść stanowiła jednocześnie imię. Była więc Bułana ze żrebakiem, Kasztana ze żrebakiem, młodzieńka Karuńka - krótko. Jakiś karo-gniady koń niczym się jej nie upamiętnił. Mongoł siwo-bury zamiennik zabranego siłą przez żołnierza radzieckiego konia rodziców. Niski, pękaty, z długą sierścią. Zrzucił dziewczynkę z siebie z inteligentną złośliwością. Gniade, Kasztany... Zmieniały się, rosły, przychodziły, odchodziły, sprzedawane, kupowane, zabierane rodzicom siłą, starzejące się i nawet kończące życie.

W czasie przeszłym, dojrzewającym, aż do końca najistotniejszego okresu jej życia, Ligia nie raz wspominała dzieciństwo. Zaw sze z naturalnym sentymentem, jak coś, co było oczywiste we wszystkich przejawach, w przykrościach i radościach. Jakby była rośliną czy drzewem, które aby rosło, musiało być pojone, karmione i jakoś tak ważne, że nie mogło być zniszczone. Dlatego może zajmowała się każdą najmniejszą roślinką z jaką się zetknęła, ratowała ją przed uschnięciem. Do dziś reaguje na każdą potrzebę pomocy, podnosi i umacnia korzenie napotkanego na swojej drodze krzewu lub drzewka, skaleczonego czy wyrwanego z ziemi. Czyni to również w stosunku do zwierząt, zwłaszcza małych, potrzebujących opieki. Zawsze odczuwała ich ból, pragnienie czy głód. Wszak wszystko to było nie raz jej, dziecka, udziałem. A rośliny i zwierzęta widocznie czuły tę jej dobrą energię im przekazywaną. Włożona przez nią w ziemię usychająca gałązka wypuszczała listki, ludzie mawiali, że ma rękę do kwiatów, drzew i do dzieci. Jakże często w tym swoim szybko „dorostłym” dzieciństwie była głodna. Głównie to zapamiętała jako przykre z ciężkich lat pustego pola, a potem okupacji niemieckiej. Wszelkie trudy, zmęczenie, niebezpieczeństwa wspomina jako naturalne, jako coś po drodze do tego, co ma osiągnąć pracą, nauką, swoim życiem.

Lidia Kosk



Filozofia codzienności prof. Marii Szyszkowskiej (167)



Fot. Andrzej Dębowski

Niepokojące swoją wymową jest retoryczne pytanie Kuncewiczowej: „On, tak rozkochany w diabelskich trąbach i bębnach, we wściekłych tańcach wiatru i w wieńcu cierniowym Chrystusa, czy to nie on powinien był się spalić w piecu oświęcimskim?”

Stanisław Przybyszewski był po II wojnie światowej ośmieszany w Polsce z powodu sformułowanej przez niego teorii „sztuka dla sztuki”. Nie rozumie się tego, że krytykując pogląd, iż sztuka ma jakiś cel – Przybyszewski bronił autonomii sztuki i literatury. Wyjaśniał, że nie powinna pełnić służebnej funkcji. Sztuka i literatura powinna być objawieniem ukrytych w człowieku, a nieznanym mu potęg.

W latach gdy dojrzywała powoli teoria Freuda – Przybyszewski głosił już, że istotną rolę pełni podświadomość w życiu człowieka, Ten problem jest obecny w jego twórczości. Interesowała tego pisarza – co wyrażał w powieściach – sfera życia psychicznego wolna od samokontroli. Akcja powieści stawała się zagadnieniem mniejszej wagi. Nie określał dokładnie kim są bohaterowie utworów w sposób do jakiego przywykliśmy; interesował go stan duszy oraz ich wzajemne relacje.

Sława z jaką przyjechał do Polski opierała się na jego dziełach niemieckich. Po polsku pisał pospiesznie z wielu przyczyn, kierując się mniej rygorystycznymi wymaganiami formalnymi. Podobnie nie dość starannie były przekładane na język polski jego utwory, a zwłaszcza proza poetycka, pisane po niemiecku.

Przybyszewski podkreślał, że nie tworzy się dzieł sztuki ze względu na cele leżące poza nią. To nie znaczy, by pisarz miał pozostawać obojętny wobec problemów świata w którym żyje. Ale tworzenie dzieł – jeśli mają być sztuką w pełnym tego słowa znaczeniu – a nie tworem pisany dla poklasku, musi pozostać sprawą osobistą, autentyczną, wyrazem nadmiaru przeżyć, doznań i przemyśleń, które domagają się ujścia. Osobisty sens dzieł wzmacnia ich oddziaływanie. Jako niski motyw twórczości oceniał, słusznie, cele pragmatyczne.

Muszę dodać, że Stanisław Przybyszew-

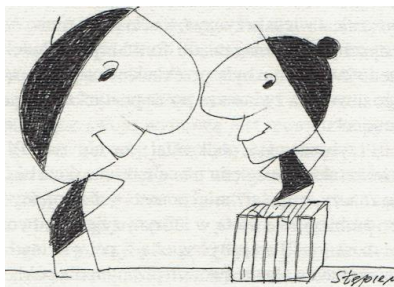
ski głosił hasło „sztuka dla sztuki”, ale zarazem – co nie jest sprzeczne – z pasją publikował artykuły w „Gazecie Robotniczej” domagając się zasadniczych przemian społecznych i politycznych.

Maria Kasprowiczowa

Niewielu czytelników powieści Żeromskiego wie o wysiłku wkładanym przez Oktawię Żeromską w doskonalenie jego tekstów. Podobną rolę – ale ograniczoną do twórczych inspiracji – spełniła Maria Kasprowiczowa w stosunku do poezji Jana Kasprowicza. Była jego trzecią żoną, Rosjanką z domu Bunin, córką carskiego generała. Urodziła się w 1887 roku w Petersburgu. Popęniła mezalians wychodząc za mąż, za syna chłopca.

Bystry umysł Marii Kasprowiczowej, wszechstronne wykształcenie, szerokie horyzonty myślowe i ponadprzeciętna wrażliwość sprawiły, że trafnie oceniała świat i ludzi. Nie uwarunkowana myślowo własną sytuacją społeczną, umiała obiektywnie dostrzegać przejawy niesprawiedliwości oraz przesady myślowe. Umiała dostrzec dodatnie strony rewolucji 1917 roku mimo, że ściągnęła nieszczęścia na jej najbliższą rodzinę.

Po wyjściu za mąż znalazła się w trudnej sytuacji przejawów zazdrości, a nawet zawiści ze strony córek Jana Kasprowicza. Ich matka, druga żona Kasprowicza, odeszła od niego i córkę ogarniętą namiętną miłością do Stanisława Przybyszewskiego. Zawładnęła nią mocno wstrząsająca gra na pianinie Stanisława Przybyszewskiego, który w oryginalnych interpretacjach Chopina wyrażał siebie.



Rys. Jan Stępień

Córki poety zazdrościły miłości ojca do Marii Kasprowiczowej oraz jej urody. Macocha była niewiele od nich starsza. Maria Kasprowiczowa opisała trudność tych relacji i płynące z nich cierpienia w „Dzienniku”. Inną wersję opublikowała Anna Kasprowiczówna w książce „Córki mówią...”. Za intrygowana opisanym dramatem nawiązała kontakt z Anną Kasprowicz-Jarocką i utrzymałam rozmowę z nią w mojej książce: „Za horyzontem”.

„Dziennik” to wyjątkowy utwór literacki. Autorka nie buduje w nim swojej wielkości, nie rysuje obrazu słynnej wdowy na koturnach (po śmierci Jana), lecz dzieli się szczerze światem własnych uczuć, doznań i przemyśleń. Wyznaje w „Dzienniku” na przykład swoją namiętną miłość do Bułgara Bojana,

męża znanej poetki bułgarskiej Dory Gabe, którą przeżywała jeszcze za życia Jana.

Maria Kasprowiczowa po śmierci męża nadal prowadziła wyszukane intelektualnie i artystycznie życie towarzyskie. Miała wyjątkowy dar zamieniania życia w sztukę. Przyjmowała na Harendzie wybitnych twórców i pomagała innym rozwijać talent literacki. Na przykład przyczyniła się do rozkwitu pisarstwa Michała Choromańskiego, czy debiutu literackiego Henryka Worcella. Dodam, że w oparciu o powieść Worcella „Zakłętą rewiry” został nakręcony znakomity film w reżyserii Janusza Majewskiego.

Maria, a właściwie Marusia, swoją wyobraźnią przetwarzała codzienność. Skupiała osoby nieprzeciętne prowadząc z nimi rozmowy istotne. Rozmaicie bywało z wdzięcznością, bowiem powodowany zazdrością Michała Choromański ośmieszył Marusię w książce „Schodami w górę, schodami w dół”.

Niewątpliwie należała do grona ludzi niepospolitych, co odczuwała się czytając jej utwory. Będąc żoną Jana, czyli profesora uniwersytetu i zarazem rektora, sławnego poety, Marusia zdawała sobie sprawę, że nie należy żyć w czymś blasku. Wiedziała też, że zadaniem każdego z nas jest stawanie się człowiekiem w pełnym znaczeniu tego słowa. Podkreślała, że w tym procesie trzeba uczyć się odpowiedzialności za własne istnienie czerpiąc inspiracje z rozmów, z nieprzeciętnymi osobami. Jednoczyła ludzi z różnych stron kraju, bliskie sobie, pokrewne dusze.

Warto zaznaczyć, że prowadziła spartański tryb życia, kontrastujący z warunkami w jakich wyrosła, w środowisku rodzinnym. Z pogodą ducha znosiła czasem dotkliwy niedostatek materialny. Swoje życie uczyniła przedmiotem literatury pięknej. Można się uczyć czytając „Dziennik” na przykład tego, że bezsensowne jest wstydyzenie się biedą. Nie mniej mądre jest przekonanie Marusi, że kompromis w sferze światopoglądowej jest gorszy od śmierci.

„Dziennik” i inne książki Marusi Kasprowiczowej są w pełni aktualne. Jej ślub z Janem miał miejsce w 1911 roku. Umarła w 1968 roku. To, co pisała po drugiej wojnie światowej pozostaje w harmonii z jej poglądami wcześniejszymi. Wspomina jej więzi ze Stowarzyszeniem PAX Danuta Lemirska-Łaszowska, osobisty sekretarz Bolesława Piaseckiego.

Godny naśladowania jest brak uprzedzeń w sposobie myślenia Marii Kasprowiczowej. Ceniła na przykład wprowadzenie równości materialnej przez rewolucję 1917 roku.

Włożyłam duży wysiłek w przekonanie testamentowego spadkobiercy rękopisów Marii Kasprowiczowej, by zgodził się na wydanie choćby części jej niepublikowanych zapisków. Doszło wreszcie do tego w 2001 roku. Dokonany przeze mnie wybór z jej niepublikowanych pamiętników niestety został przez spadkobiercę rękopisów ograniczony. Książka nosi tytuł „Spadające księżycy”.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(12)

15 maja 2019, środa

Rano. Znów noc nieprzespana. Tak naprawdę tylko zdrzemnąłem się chwilkę. Brzuch nadal mnie boli, choć czuję jakby niewielką poprawę. Jestem na ścisłej diecie. Nic nie mogę jeść ani pić. Nie mam też na nic apetytu. Od rana wznawiają badania: USG, zdjęcia RTG brzucha z przodu i z tyłu. Widać wyraźnie, że przygotowują mnie na operację udrożnienia jelit. Boję się, ale wierzę nadal, że uda mi się tego uniknąć. Dostaję też lewatywę, która wypłukuje z mojego odbytu dwa niewielkie kałowe korki, ale bez większego rezultatu. Jednak czuję, że od czasu do czasu niewielkie jak na razie ilości gazów wydostają się odbytem, a nie tylko gardłem, jak było do tej pory. Późnym popołudniem przychodzi dr P., który pełni tu, tak mi się zdaje, stanowisko zastępcy ordynatora, i mówi mi, że przygotowujemy jestem do operacji, ale jeszcze poczekają, bo mam dobre wyniki ogólne, więc nie widzą jeszcze takiej potrzeby. Przytakuję głową wyrażając aprobatę do takiego stanowiska. „Może organizm pana z tym sobie jednak poradzi?” Wzbudza to moją cichą nadzieję, że jednak nie dojdzie do operacji. Trzymam się tego jak tonący brzytwy. Badaniami jestem już wyraźnie zmęczony, a także szpitalną atmosferą, chodzącym ciągle telewizorem. Co jakiś czas sprawdzam mój brzuch i zdaje się, jak by lekko ból się zmniejszył. Zresztą głoduję już drugi dzień. Parę razy zdarza się, że oddaję gazy odbytem. Wieczorem próbuję zasnąć.

16 maja, czwartek

Budzę się o 5. O Boże, po raz pierwszy od kilku dni przespałem bez przerwy 7 godzin. Macam też mój brzuch. Nic mnie nie boli. A więc stał się cud. Idę do dyżurującej pielęgniarki i mówię jej o tym, że nie czuję żadnych boleści. – To dobrze odpowiada drze miąc. Ale serce rozsada mi radość. Czyżby udało mi się uciec przed skalpelem? Potem coraz częściej odzywają się gazy w odbycie. Już wiem, że jestem uratowany. Chciałbym kogoś z radości wyściskać, ale nie mam kogo. Dziękuję tylko Bogu za to, że mnie uratował przed operacją. Już wiem, że w poniedziałek będę się mógł wybrać także do Rzeszowa na chemioterapię. Czy ją dostanę, tego nie wiem. Ale dochowam terminu i przyjadę z aktualnymi wynikami ze stalowowolskiego szpitala. Oni zaś podejmą decyzję. To najważniejsze, by nie zerwać terminu i kontynuować leczenie.

Od rana jestem na ścisłej diecie. Po dwóch dniach głodówki zezwolono mi tylko na zjedzenie mlecznej zupy na grysiku. Podobną dostanę po południu, tylko na rosółku, a wieczorem będzie to mleczna z kaszką kukurydzianą. W domu, bym tego nie włożył

do ust, ale tutaj, gdy jestem tak wygłodniały, nawet smakuje. Przed obiadem kąpię się i golę po raz pierwszy od 3 dni.

O w pół do pierwszej czuję potrzebę wyjścia do toalety. I znów chwila radości. Mam za sobą pierwszy oddany po 3 dniach stolec. Idę i melduję o tym siedzącym na dyżurze pielęgniarkom. Chce mi się z radości wołać: victoria! Ale oczywiście tego nie robię. Przecież nie zwiariowałem. Duma rozpycha moją scherlałą już pierś. Po raz drugi jestem uratowany i teraz wiem już, że na pewno. Przychodzi za pół godziny na salę doktor P. i melduję mu o tym, co się wydarzyło. Mówię mu też pełen radości: panie doktorze, warto było czekać! – A no warto – spokojnie odpowiada. Czuję się tak, jakbym na nowo odżył życie. Dzwonię z tą wiadomością do Halinki. Ona też się cieszy, bo przecież przeżywa to wszystko podobnie jak ja.

Po południu wizyta Halinki, rozmawiamy o domu i rodzinie. Wczoraj dzwoniła do mojej bratowej z życzeniami. Niestety, chorująca od roku na Alzheimera Zosia nie ma się lepiej, nawet trochę. Można z całą pewnością powiedzieć, że choroba się pogłębiła, choć prowadzana jest codziennie na spotkania terapeutyczne. Potem pożyczam od mojego współmieszkańca, Jacka P., b. wójta Radomyśla nad Sanem, najnowszy numer Tygodnika Powszechnego i zagłębiam się w lekturę. Przeszkadza mi tylko włączony telewizor, który od południa jest na chodzie. Zdaje się, że włącza go za wrzuceniem do automatu pieniędzy, najmłodszy pacjent, liczący 44 lata, pracujący jako majster przy remontach mieszkań. On nawet tego nie ogląda, bo często wychodzi poza salę chorych by pogawędzić lub po kryjomu zapalić papierosa(sic!). Pozostali współmieszkańcy widać to akceptują, bo nikt jednak nie protestuje. W końcu mają rozrywkę za darmo. Panowie są w moim wieku lub trochę, 10–15 lat, młodszy, a więc po sześćdziesiątce. Mnie ta sytuacja cholernie męczy, bo ciągle rozprasza, ale przecież nie będę się kłócił. Jakoś wytrzymam, choć wieczorem mam problemy z zaśnięciem. Od czasu do czasu dyskutujemy z Jackiem P., który jest z wykształcenia historykiem, o współczesnej historii i polityce. Najczęściej mamy poglądy zbieżne lub podobne. P. jest człowiekiem odcytanym, codziennie kupuje sporo gazet. Ale też dożywia się, bo jedzenie szpitalne mu nie wystarcza, choć choruje na cukrzycę i bierze już insulinę.

17 maja, piątek

Rano przychodzi dr Piotrowski i pyta nas delikatnie, czy chcemy dziś wyjść. Potwierdzam, że tak. P. również chce iść do domu. Inni pozostają. Mają poważniejsze schorzenia. Powoli zaczynam się pakować i przebierać. Dzwonię do Halinki, by przyniosła mi kurtkę i buty. Na dworze mży, ale jest ciepło, przyjemnie. Od czasu do czasu słońce przebija się przez powłokę chmur. Około 9.00 doktor przynosi kartę wypisu ze szpitala oraz opis choroby, a także wyniki przeprowadzonych badań. Dziękuję mu za leczenie. Wszyscy jesteśmy w dobrym nastroju. Za półgodziny przychodzi żona z moimi rzeczami, także z parasolem, który jednak okaże się

zbędny. Po 10.00 opuszczam szpital. Po drodze dziękuję także pielęgniarkom.

Wreszcie w domu. Rozglądam się po lodówce i coś zagryzam, przede wszystkim chleb z masłem i kupionym na rynku od prywatnego producenta serem, ale tak by nie przesadzić. Bo wiem już, co to znaczy. Jem też duże jabłko, którego mi najbardziej w szpitalu brakowało.

Rzucam się też do komputera, by wyrzucić z niego reklamowe śmieci. Było tego ponad 60. Odpowiadam także na niektóre maile. Zaglądam również na giełdę i aktualności na WP. Zapisuję też moje notatki ze szpitala do pliku: Moja choroba. Robię przerwę na Wiadomości TVP. A potem jem na obiad supę ogórkową z chlebem z masłem. Bardzo mi to wszystko smakuje. Potem jadę samochodem po kartę parkingową do starostwa, legitymację – do Automobilklubu. I tak ciągnę powoli wszystko aż do wieczora. Kończę pracowy dzień pójściem do czytelnicy czasopism. Spędzam tam na lekturze prawie godzinę. Zabieram przed 19.00 zaległą prasę, przede wszystkim dla Halinki i znów idę do domu, by nadal poświęcić się lekturze.

18 maja, sobota

Wreszcie noc przespana w domu i po skromnym, ale domowym jedzeniu. Myję się, zmieniam bieliznę i świeży wyruszam rano do kościoła, aby podziękować Bogu za to cudowne uzdrowienie. Idę teraz po zakupy, które mam zapisane na kartce. Kiedy już jestem w domu, zabieram się za odkurzacz i pomagam Halince w sprzątanii. Podczas pracy rozmyślam o mojej chorobie szpitalu, o wszystkim. Trzeba przecież to wszystko jakoś przetrwać. Chwilę kładę się na wersalce i krótko zasypiam. Budzę się o 11 i ruszam z Halinką samochodem po zakupy do Kauland. Obiad już jest przygotowany, więc nie ma na co czekać. O 12 już jesteśmy w domu. Po obiedzie wybieram się do biblioteki, by trochę poczytać i przynieść pozostałą prasę, nieprzeczytaną, do domu, by dokończyć lekturę. Niestety, już w domu zorientowałem się, że nie wziąłem aktualnego numeru Polityki, tylko stary. Trudno. Czytam zatem Rzeczpospolitą, artykuł o Berii, gruzińskim „patriocie i spiskowcu” i zbiera mi się na rzyganie, gdy pomyślę o tym, jak wyglądali sowieccy mężowie stanu, bohaterzy i spiskowcy. Po drzemce wybieram się maluchem na otwartą Noc Muzeów. Oglądam wystawę sztuki secesjonistycznej polskiej i zagranicznej. Pewnie, że skromna, ale przecież jestem na prowincji. Dobre jednak i to. Ta sztuka i eksponaty japońskie wypożyczone ze zbiorów Manggha z Krakowa mogą się jednak podobać. O 19 wracam do domu. Włączam TVN24, media żyją jeszcze przekazem filmowym braci Sekielskich o pedofilii w polskim Kościele.

Miroslaw Osowski



POEZJA

Maciej Bieszczad, *Niteczka*. Zdjęcie na I stronie okładki: www.pexel.com. Portret na IV stronie okładki z archiwum Towarzystwa Przyjaciół Sopotu. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 176. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2020, s. 48.

Krzysztof Boczkowski, *Szkielet Boga. Wybór wierszy z lat 1975-2012*. Postłowie: Aleksandra Melbechowska-Luty. Projekt graficzny okładki: Piotr Kieżun. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, s. 368.

Balsa Brković, *Czarne boisko / Crno igralište*. Przełożyła: Agnieszka Schreier. Projekt typograficzny: Tomasz Pawluczuk. Projekt obwoluty, okładki i stron tytułowych: Wojciech Kwiecień-Janikowski. Seria *Europejski Poeta Wolności*. Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2019, s. 160.

Antoine Cassar, *Czterdzieści dni / Erbhghin Jum*. Przełożyła: Zuzanna Gawron. Projekt typograficzny: Tomasz Pawluczuk. Projekt obwoluty, okładki i stron tytułowych: Wojciech Kwiecień-Janikowski. Seria *Europejski Poeta Wolności*. Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2019, s. 216.

Joanna Chachuła, *Krew*. Na I stronie okładki Mariola Wawrzuciak-Borcza, *Strata*. Zdjęcie na IV stronie okładki: Jolanta Stelmasiak. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 175. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu” Sopot 1019, s. 36.

Darko Cvijetić, *Gęsia skóra / Jeżene kozice*. Przełożył: Miłosz Waligórski. Projekt typograficzny: Tomasz Pawluczuk. Projekt obwoluty, okładki i stron tytułowych: Wojciech Kwiecień-Janikowski. Seria *Europejski Poeta Wolności*. Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2019, s. 116.

Cezary Maciej Dąbrowski, *Stawki życia*. Zdjęcie na okładce: Cezary Maciej Dąbrowski. Projekt okładki: Julia Burek-Wolska. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1019, s. 126.

Zygmunt Ficek, *Dzień po długiej drodze*. Zdjęcie na I stronie okładki: Zygmunt Ficek. Zdjęcie na IV stronie okładki: Jan Zych. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 174. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2019, s. 64.

Jerzy Jankowski, *Raport z obłożonego Świata*. Wydawca: Centrum Kultury w Żyrardowie, Żyrardów 2020, s. 48.

Stefan Jurkowski, *Obcy jestem*. Redaktor: Stanisław Nyczaj. Opracowanie typograficzne, projekt okładki oraz kolaże: Irena Nyczaj. Opracowanie komputerowe: Paweł Nyczaj. Zdjęcie autora: Maria Gibała. Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2020, s. 98.

Janusz Solarz, *Dziesięcinada*. Projekt okładki, opracowanie graficzne: Konrad Kowalczyk. Ilustracje wewnątrz książki oraz na okładce: Jolanta Trzcinańska-Kijewska. Wydawca: Zaułek Wydawniczy *Pomyłka*, Szczecin 2020, s. 70.

Jan Stępień, *Cisza*. Opracowanie redakcyjne: Andrzej Ziemiński. Rysunki, projekt okładki: Jan Stępień. Wydawnictwo „Kto jest kim”, Warszawa 2020, s. 74.

Tadeusz Zawadowski, *Dopóki zegar tyka*. Redakcja serii: Rafał T. Czachorowski. Redakcja: Jarosław Jastrzębski. Postłowie: Andrzej Dębowski. Projekt okładki: Daria K. Kompf. Zdjęcie autora: Andrzej Walter. Wydawca: Fundacja Duży Format, Warszawa 2020, s. 70.

Jerzy Benjamin Zimny, *Nie jestem sam*. Wydawca: Biblioteka ReWirów, Poznań 2020, s. 79.

PROZA

Jerzy Andrzejewski, *Prozy wybrane*. Tom 1: *Opowiadania. Ład serca*. Postłowie: Andrzej Skrendo. Projekt okładki i obwoluty: Łukasz Zbieranowski / Fajne Chłopaki na podstawie projektu Tadeusz Pietrzyka. *Biblioteka Klasyków*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 784.

Jerzy Andrzejewski, *Prozy wybrane*. Tom 2. *Ciemności kryją ziemię. Bramy rajy. Idzie skacząc po górach*. Postłowie: Andrzej Skrendo. Projekt okładki i obwoluty: Łukasz Zbieranowski / Fajne Chłopaki na podstawie projektu Tadeusz Pietrzyka. *Biblioteka Klasyków*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 528.

Jerzy Andrzejewski, *Prozy wybrane*. Tom 3. *Miazga*. Postłowie: Andrzej Skrendo. Projekt okładki i obwoluty: Łukasz Zbieranowski / Fajne Chłopaki na podstawie projektu Tadeusz Pietrzyka. *Biblioteka Klasyków*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 752.

Jerzy Andrzejewski, *Prozy wybrane*. Tom 4. *Apelacja. Teraz na ciebie zagląda. Już prawie nic. Nikt*. Postłowie: Andrzej Skrendo. Projekt okładki i obwoluty: Łukasz Zbieranowski / Fajne Chłopaki na podstawie projektu Tadeusz Pietrzyka. *Biblioteka Klasyków*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 536.

Wojciech Chmielewski, *Magiczne światło miasta*. Projekt okładki: Katarzyna Trzesczkowska. Wydawnictwo ARCANA, Kraków 2019, s. 204.

Roman Ciepliński, *Ukryte myśli*. Zdjęcie autora i obraz na okładce: Karol A. Ciepliński. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Dom Kultury 13 Muz, Szczecin, Bezręcze 2020, s. 178.

Józef Hen, *Odejskie Afrodyty*. Projekt okładki: P.O. Okładek. Wydawnictwo MG, Warszawa 2020, s. 416.

Marek Hłasko, *Szukając gwiazd i inne opowiadania*. Projekt graficzny: Andrzej Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019, s. 296.

Wacław Holewiński, *Oraz wygnani zostali*. Projekt okładki, stron tytułowych i wkładki ilustracyjnej: Emilia Pyza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, s. 256.

Kazimierz Iwosse, *Garść nieba, garść piekła. Powieść*. Projekt okładki: Kazimierz Iwosse z wykorzystaniem fotografii grupy kobiet z Goethe Instytut Kenya – Nairobi. Zdjęcie autora: Iwona Pinno. Wydawnictwo papirus, Wankendorf-Jarosław 2020, s. 298.

Zbigniew Wilczyński, *Fala zero*. Postłowie: Grzegorz Bazylak. Redakcja: Zbigniew Joachimiak. Projekt okładki: FŚL. Na okładce wykorzystano przetworzone zdjęcia Sybil Storie. Wydawca: Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2020, s. 424.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Anne-France Dautheville, *Sekrety ogrodu*. Wstęp: Clotilde Boisvert. Przełożył: Andrzej Stańczyk. Opracowanie graficzne, okładka i układ typograficzny: Coline de Graaff-Gadesaude. Przygotowanie polskiej wersji: Piotr Kołodziej. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020, s. 144.

Umberto Eco, *Migracje i nietolerancja*. Przełożył: Krzysztof Żaboklicki. Projekt okładki Witold Siemaszkiewicz. Ilustracja na okładce John Ross / Digital Yision / Getty Images. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2020, s. 48.

Krzysztof Hoła, *Kuba. Gorzki smak cygar*. Redaktor prowadzący: Justyna Maluga. Redakcja i korekta: Ludmiła Kucharska. Fotografie: Krzysztof Hoła, Aneta Łysek-Hoła, pixabay.com. Opracowanie graficzne: Marzena Piotrkowska. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2020, s. 272.

Donat Kirsch, *Eliminacja episteme. Pisma krytyczne*. Opracowanie: Andrzej Śnioszek. Projekt okładki: Klaudia Śnioszek. Seria *Edytorstwo Naukowe*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2019, s. 172.

Chantal Mouffe, *W obronie lewicowego populizmu*. Przełożyła: Barbara Szalewska. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020, s. 96.

Wojciech Pestka, *Gdyby Polacy nie byli Polakami. Kresowa Apokalipsa: reportaże i perery*. Projekt okładki, opracowanie graficzne: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2019, s. 352.

Elżbieta Ruman, *Lecznicza moc natury według Hildegardy z Bingen*. **Teresa Stachura**, *Przepisy kuchni pachnącej ziołami*. Redakcja: Oficyna Wydawnicza Edytor.org. Opracowanie graficzne: Lidia Ciecierska. Ilustracje: Obrazy licencjonowane przez Depositphotos.com. Fotografie: Krzysztof Mania. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2020, s. 216.

Świat kultury czasów Polski Ludowej. Redakcja naukowa: prof. Maria Szyszkowska. Wydawnictwo „Kto jest kim”, Warszawa 2020, s. 314.

Przywołanie pamięci

Siódmą książką o Wołyniu, postrzeganym głównie jako kraina dzieciństwa, wydaną przez oficynę Bonami jest autobiografia „Wołyńskie korzenie” autorstwa Jana Kuriaty.

Ta pozycja wydawnicza jest spełnieniem pragnienia znamionującego unikatowe kompetencje społeczne i emocjonalne edytora **Mieczysława Kuczyńskiego**, których wyrażnym potwierdzeniem są mądre i piękne słowa „Od Wydawcy”: *Gdy przed pięcioma laty szukałem ludzi sukcesu z naszego Wołynia, zwróciłem uwagę na postać Jana Kuriaty – generała dywizji Wojska Polskiego, urodzonego przed wojną we wsi Woronówka, w powiecie kostopolskim. Zainteresowały mnie jego losy i jego rodziny – przed wojną, w czasie wojny i po wojnie. Byłem ciekaw, jak do tego doszło, że swoją przyszłość związał z wojskowością, której poświęcił całe dojrzałe życie.*

Poligrafia książki jest wzorowa, do lektury zachęca symbolicznie skomponowana okładka, rozdzielanie sylab w imieniu i nazwisku autora trafnie oddaje jego etapy w znaczącym życiu oraz zastosowanie czcionki typowej do adresowania skrzyń towarzyszących żołnierzowi przy jego licznych podróży i przeprowadzkach.

Zdumiewać może to, że wszyscy powojenni generałowie urodzili się tylko w jednym powiecie wołyńskim. Byli to – oprócz Jana Kuriaty – generałowie: Bronisław Kuriata z Lewacz, Czesław W. Piotrowski z Huty Stepańskiej a także bracia Hermaszewscy z Lipnik, Władysław i Mirosław, jedyny dotąd polski kosmonauta.

Kuriatów żyło wielu na Wołyniu (nie tylko we wsi Woronówka). Osobiście znam poetę Czesława Kuriatę, absolwenta polonistycznej polonistyki, mieszkającego w Koszalinie.

Wołyń to region, który ma doprawdy unikatową historię: Polska wielokrotnie zabiegała o te urodzajne czarnoziemy. Także Litwa, Ruś Kijowska, Wielkie Księstwo Moskiewskie, Rosja carska i sowiecka. Były też okresy względnej niezależności, a nawet niepodległości Ziemi Wołyńskiej. Występowały w niej żywioły rusińskie (później ukraińskie), polskie, żydowskie, niemieckie i czeskie. Wyjątkowo niechlubną kartą w historii Wołynia jest rok 1943, znaczony ludobójstwem dokonany na Polakach (Lachach) przez Ukraińców działających w Ukraińskiej Powstańczej Armii a wcześniej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Nie można znaleźć usprawiedliwienia dla

dokonanych wyjątkowo okrutnych zbrodni. Na haniebną postawę Ukraińców mogło mieć wpływ nie zawsze właściwe postępowanie władz II Rzeczypospolitej wobec tej mniejszości narodowej oraz niezapewnienie obecności na konferencji pokojowej 12 października 1920 roku w Rydze strony ukraińskiej, reprezentowanej przez prawdziwy rząd Ukrainy na czele z atamanem Symonem Petlurą – lojalnym sprzymierzeńcem Polski w wojnie z nawałą sowiecką.

W latach 1939-1945 Wołyniacy, jak i pozostali ludzie Kresów byli zmuszeni przeżywać trzykrotnie tragedię okupacji, dokonywanych przez najeźdźców: radzieckich 17 września 1939 roku, niemieckich w czerwcu 1941 roku oraz ponownie sowieckich w sierpniu 1944 roku. To spowodowało, że nastawione patriotycznie dzieci i młodzież miały bolesne dzieciństwo i młodość, obcując na co dzień w swoich sponiewieranych rodzinach.

Autor dorastał w tych trudnych latach. Opowieść swą rozpoczął od pokazania pracowitości i niezłomnych cech charakteru tamtejszych ludzi, które pozwoliły jego rodzicom na szybkie usamodzielnienie się od pomocy dziadków. W ciągu dwóch lat zbudowali dom i pomyślnie zorganizowali własne gospodarstwo na kilku hektarach pól i łąk. Od najmłodszych lat autor angażowany był do pracy w domu i zagrodzie. Gdy trochę podrosł, chodził z ojcem w pole.

Oprócz pracy na roli ojciec uczył swoich chłopców umiłowania ojczyzny. Tłumaczył im, co to jest naród i ojczyzna, uczył że należy ją kochać i jej służyć. Ojciec zawsze zwracał uwagę na solidność, rzetelność w codziennym życiu i szacunek dla innych ludzi.

Wszczepił też swojej rodzinie kult dla wojska i żołnierskiego rzemiosła. Dobrze wspominał swój czas służby wojskowej, szanował swojego dowódcę, i dawał za wzór swoim synom. Często śpiewał wojskowe pieśni patriotyczne, a chłopcy mu wtórowali. Gdy przyszła wojna, do codziennych obowiązków autora doszła troska o bezpieczeństwo, a nawet i życie młodszych braci. Był wsparciem dla swoich rodziców, którzy w warunkach brutalnej okupacji i ukraińskiego bestialstwa, desperacko starali się zapewnić materialny byt swoim dzieciom.

Po przyjeździe na Dolny Śląsk jako nastoletni młodzieniec nadal był podporą swoich rodziców. Nie stronił od wszelkich prac gospodarskich. Był pracowity, rzetelny, uczciwy i sprawiedliwy. Jego prawdomówność przysparzała mu trochę kłopotów na początku jego drogi zawodowej. Ale dzięki pracowitości, wytrwałości, sumiennoci i uporowi chłopskiego dziecka w realizowaniu celów mogła przyjść kariera (tak, na pewno!), kariera wojskowa. Generałami zostają nieliczni. Stąd zatem szczególnie interesujący jest moment, w którym Jan (Kuriata) stał się naprawdę Kimś: dowódcą Śląskiego Okręgu

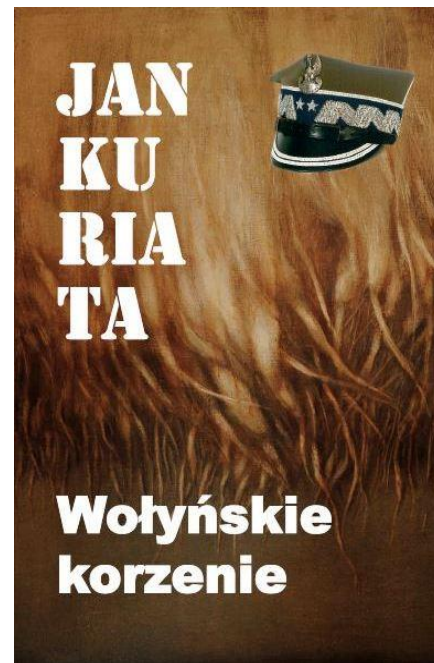
Wojskowego, dowódcą Warszawskiego Okręgu Wojskowego, i na końcu, po transformacji ustrojowej wiceministrem obrony narodowej. Chciałoby się poznać sposoby radzenia sobie na takich stanowiskach z tak zwanymi czynnikami partyjnymi, a konkretnie z komitetami wojewódzkimi i komitetem centralnym PZPR. Także czytelników zapewne zainteresowałyby kontakty z „towarzyszami radzieckimi” (nie tylko w czasie studiów w Moskwie).

Widoczne jest rozżalenie autora, brakiem zainteresowania aktualnego kierownictwa wojskowego byłymi dowódcami, z których wiedzy i doświadczenia można byłoby korzystać. Przy tej okazji warto zapytać, czy autor pełniąc wysokie stanowiska korzystał z takiej sposobności.

Reasumując, trzeba na koniec podkreślić, że książka Jana Kuriaty to wyjątkowo ciekawa pozycja beletrystyczna, w której obok wiedzy merytorycznej o losach wyróżniającego się Wołynianina, dzielnego w trudnych latach dzieciństwa, odpowiedzialnego w młodości oraz owocnej dojrzałości, zakończonych znaczącym awansem wojskowym znaleźć można wiele wartościowych przesłań patriotycznych, ważnych dla współczesnego młodego pokolenia.

Autor ukazał cechy charakteru, które przynieść mogą uznanie i satysfakcję z pracy, pojmowanej jako służba, a nawet karierę. Książka wskazuje na wielkie znaczenie więzi międzypokoleniowych w życiu człowieka. Zatem warto przeczytać książkę Jana Kuriaty.

Paweł Kuszczyński



Jan Kuriata, *Wołyńskie korzenie*. Wydawnictwo Bonami, Poznań 2020, s. 224.

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębkowska, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszczowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98–113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677–41–56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97–425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl

www.gazetakulturalna.zelow.pl